

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 20 (1756) 17-23 maja 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Getto pani Muchy
str. 6-7

**Trzy zdrowaśki
ministrowi Leszczyny**
str. 10-11



**ŻIELONE
ŚWIĄTKI**

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



WOJNA DOMOWA

◆ Komisja śledcza pod wezwaniem Michała Szczerby przesłuchiwała legendarnego więźnia politycznego Macieja Wąsika. Wąsik wykazał, iż w więzieniu zinternalizował podstawową zasadę grypsery: nie pucować się. „Nie byłem informowany, kto inny zajmował się sprawami cudzoziemców, moja praca tego nie dotyczyła, nie mam szczegółowej wiedzy, bo nie było to w zakresie moich obowiązków, nie interesuję się tymi sprawami, mój zakres obowiązków jakby nie predestynował mnie”... Przewodniczący Szczerba wykluczył z obrad posła Andrzeja Śliwkę z PiS po tym, jak Śliwka powiedział do niego: „Nie żartujmy sobie, panie przewodniczący” – co z kolei wykazało, że Szczerba zinternalizował zasadę wpojoną mu osobiście przez marszałka Kuchcińskiego po pamiętnej invokacji: „Panie marszałku kochany”: za żartowanie wykluczamy z obrad. Za niezartowanie także.

◆ Z kolei komisja pod wezwaniem Magdaleny Sroki nie przesłuchiwała Mikołaja Pawlaka, byłego rzecznika praw dziecka, który przyszedł na salę uzbrojony w Marka Markiewicza i nie zawahał się go użyć. Komisja może tego nie pamiętać, bo składa się z ludzi późno urodzonych, ale Markiewicz był posłem, a także szefem KRiPiT i generalnie nie kłęka. Pawlak wygłosił oświadczenie, że komisja to nie komisja, tylko „spotkanie publicystyczne”, odmówił złożenia przysięgi i wyszedł – czym wyświadczył przewodniczącej Sroce przysługę, bo poprzednio jak świadek odmówił jej złożenia przysięgi, to i tak go przesłuchiwała przez siedem godzin, co w zgodnej opinii prawników było nielegalne. Swoją drogą, jak patrzymy na eks-policjantkę Srokę, przypominam nam się dialog z „Psów”: „Gdzie ja teraz robotę znajdę, jak tylko przesłuchiwać umiem?”. „W Polskich Nagraniach: idź tam, Dziadek, na łowcę talentów”. P. Sroka nie miała takiej opcji, więc została posłem.

◆ Płoną różne rzeczy: centrum handlowe Marywilska w Warszawie, liceum w Grodzisku Mazowieckim, wysypisko w Siemianowicach Śląskich. Przywódcy narodu uspakajają, że to nie ruscy podpalają, ale w zasadzie by mogli, więc nie należy być zbyt spokojnym. Próbką z Tuska: „Te pożary mogą mieć związek z aktywnością obcych państw. Czy mamy do czynienia z aktami sabotażu i dywersji? Mogę powiedzieć, że w tej chwili żaden z tych pożarów, z tych ostatnich kilkudziesięciu godzin – na razie nie ma żadnego powodu, żeby sądzić, aby był skutkiem działań sił zewnętrznych, ale w żaden sposób nie zmniejsza to zagrożenia ewentualnym sabotażem i dywersją”. Premier zwrócił się też do „tysięcy pracowników ochrony”: „Wy jesteście na froncie obrony Ojczyzny, naprawdę musicie być czujni”. Z rozczuleniem wygrzebałmy z domowego archiwum kultowy plakat Tadeusza Trepkowskiego z 1953 r: „Bądź czujny wobec wroga narodu”. Na tuskizm jak ulat.

◆ Zdominowany przez demokratyczną większość senat przyjął poprawkę do napisanej przez demokratyczny sejm ustawy o demokratycznej KRS. Poprawka dopuszcza do kandydowania do rady neosędziów, co ponoć było zasugerowane w opinii Komisji Genewskiej, ale i tak jest oburzające. „Rewolucja została sprzedana” – zakrzyknął sędzia Igor Tuleja. „To jest nie tylko napłucie w twarz sędziom zaangażowanym w obronę praworządności, to jest pokazanie gestu Lichockiej obywatelom, którzy przez osiem lat stali pod sądami”. Czego tu nie rozumiemy: jeśli zgodnie z nową ustawą członków KRS mają wybierać sędziowie, to o co tyle krzyku? Po prostu ich nie wybiorą i środowisko samo się oczyści. Jak zawsze.

◆ Istnieje supozycja, iż przyczyną przyjęcia poprawki były ustalenia ministra Bodnara z prezydentem Dudą, który w końcu będzie musiał ustawę podpisać (lub nie). Prezydent odbył godzinną rozmowę z premierem, opóźniając rozpoczęcie uroczystości związanych z awansem finansowym Kierwińskiego, Budki, Sienkiewicza i Hetmana, którzy wymienili resorty na jedynki do PE. „Jestem otwarty na współpracę i dialog, mimo tego że teoretycznie wywodzimy się z różnych środowisk i z różnych, można powiedzieć, obozów politycznych” – deklarował prezydent, a nas szczególnie urzekło słowo „teoretycznie”. „Moja wiara w jego koncyliacyjność jest dokładnie taka, w sensie jednostek miary, jaka była opisana w wypowiedzi Leszka Millera do Zbigniewa Ziobry w czasach komisji śledczej do sprawy Rywina” – skomentował enuncjację prezydenta senator Krzysztof Kwiatkowski. Ile słów trzeba, żeby powiedzieć „gówno”.

◆ Na poligonie w Tczewie podczas weekendowych ćwiczeń 7. Pomorskiej Brygady Obrony Terytorialnej zaginął karabin wyborowy BOR. Cała 7. Brygada wzięła czynny udział w poszukiwaniach, mimo tego broni nie udało się zlokalizować. Żandarmeria Wojskowa i Służba Kontrwywiadu Wojskowego wszczęły postępowanie wyjaśniające, w sprawie badane były wątki o charakterze kryminalnym, w ramach których nie wykluczano celowego zaboru mienia – donosiły media. Do akcji wkroczył jeden mieszkaniec Tczewa, który wybrał się na poligon, znalazł karabin w pokrowcu, leżący przy drodze, zapakował żelastwo do bagażnika i zawiózł na komendę. Zawsze mówiliśmy, że oddanie wielkalibrowych karabinów wartych 38 tys. zł sztuka w ręce niedzielnego wojska zapewni nam bezpieczeństwo.

AWŁ

Z URNY URBANA

Żeby nie było ciągle o polityce, do tego numeru wybraliśmy felieton Urbana z kwietnia 2014 r. Nieco lżejszego gatunku, bo to i igrzyska olimpijskie niedługo, i piłka nożna za chwilę pochłonie bez reszty rodaków. Chociaż... w sumie to jest też o polityce.

Poniekąd



Wkrótce nadejdą czasy, kiedy bezkarnie można będzie na meczach krzyknąć: „Zabić Żyda”, „Heil Hitler”, „Polska über alles”, „Ruskie na pierogi” i znosić tym podobne patriotyczne okrzyki. Przystanie być karane rozwalanie przeciwnikowi głowy, a nawet zabicie go poprzez publiczne wybebeszenie. Dopuszczalne staną się wielkie widowiska mające w repertuarze lwy zjadające chrześcijan na arenie. Żaden dygnitarz państwowy nie powie o koledek polityku „chujek opalony”, gdyż nikt na całym stadionie nie będzie opalony, a słowo „chuj” i jego zdrobnienie zostaną fabrycznie wymazane ze świadomości byłalców łóż dla VIP-ów.

W nadchodzących czasach zakaz przeznaczania kobiet do ciężkich prac fizycznych nareszcie doczeka się potraktowania serio. Nie obejmował on bowiem dotychczas sportsmenek. Odtąd żadna Kubica nie rozwali swojej osoby, ścigając się samochodem, inna (nazwiska nie pamiętam) nie będzie biegać na pękniętej stopie ani w ogóle pływać, skakać, rzucać, chodzić, chyba że do fryzjera. O co chodzi?

Na zakończonej właśnie olimpiadzie w Wiedniu Polska uzyskała pierwsze miejsce i osiem medali w konstruowaniu robotów-sportowców (Robot Challenge 2014). Nikt o tym nie wie, chociaż medale za myślenie mają się tak do medali na zwykłych olimpiadach czy mistrzostwach sportowych, jak szachy do gry w palanta. Żaden Małysz ani Stoch nic nie znaczy dla przyszłości kraju, natomiast mistrzowie konstrukcji są ważniejsi niż nasza armia, która nikogo nie pokonała i nie poko-

na. Nawet swojego strachu. Zresztą czytając „Gazetę Polską”, pojmujemy, że Polską i Europą trzęsie Adam Michnik. Rozważając budżet na zbrojenia, warto więc zadać sobie klasyczne pytanie: ile dywizji ma Michnik?

Polskie roboty wygrywały w zapasach, boksie, robot Due w sumo itd. Wkrótce roboty nauczą się zespołowej piłki nożnej i skoków narciarskich. Zastąpią w pełni wszystkich żywych sportowców. Przy tym roboty są wielokrotnie tańsze od gwiazd sportu. I mniej kapryśne.

Następny etap to obsadzenie dziesiątkami tysięcy robotów trybun na stadionach. Mogą być one politycznie programowane w różnych kierunkach. Jakiegokolwiek robota-kibica pobije lub zabije robot-kibol, pozostanie bezkarny. Aparat ścigania i sądenia znęca się bowiem nad ludźmi, ignorując przestępstwa maszyn.

Drugą równie absurdalną co sport dziedziną, którą warto zrobotyzować, jest Kościół. Cały episkopat pomieści się wtedy w jednym garażu. Opancerzony robot papież nie potrzebowałby ochrony.

Można by mieć zawsze tego samego papieża i odpowiednio go modernizować. Nadać mu za to na wieczność teatralną minę rozmo-dlonego JP2 lub uśmiechnięty pysk obecnego Franciszka.

Roboty odprowadzające msze, odprowadzające trupy, chrzczące dzieci itp. skonstruować łatwo, bo powtarzają te same słowa i gesty. Najwyżej zmieniać im by trzeba nagrania kazań wybieranych z katalogu i elektronicznie przesyłanych. Rozwiąże to także problem

pieniędzy, jakie państwo, samorządy i wyznawcy marnują na pasienie kleru. Wystarczy zwracać Kościołowi za elektryczność, którą jego roboty pobierają w trakcie ładowania.

Następnym etapem byłaby robotyzacja katolików bywających na nabożeństwach. Nie będzie drogie wytworzenie nawet milionów prymitywnych kukieł, które wykonują kilka ruchów. Kościołowi zapewni to stały wzrost liczby byłalców nabożeństw i przyjemne ujednolicenie spowiedzi. Mechanicy reperowałiby roboty robiące się niedowiarzami. Procesyjne marsze robotów staną się atrakcją turystyczną i defiladą myśli, a nie ciemnoty.

Robotyzacja władzy wymaga skonstruowania dwóch, trzech politycznie odmiennych rządów, żeby utrzymać demokrację. Głosowanie oddać należy zwojom robotów domowych. Na fortepianie roboty już grają po mistrzowski, gorzej im idzie ze skrzypcami. Niezłe są już w baroku, marne we współczesnym pizzicato.

W chwili gdy niniejsze rewelacje ukażą się drukiem, w Moskwie otwarte zostaną kolejne zakłady robotów. Polscy przyjdzie tam konkurować z plemieniem robotów skośnookich, a więc krzywo na nas patrzących.

Mój robot, który przejął pisanie felietonów Urbana, urodził się w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Dokupiłbym mu robota modelki lub celebrytki, żeby już roboty same się rozmnażały. Boję się tylko, że metaliczny szcęk ich kopulacji wybiję mnie z pięknych snów.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

Kto z PiS-u powinien kandydować na prezydenta? Doradźcie prezesowi.

Facebook

Christoph Goldmann: Kamiński i Wąsik, na rotacyjnego.
Bartek Orzeł: Odpowiedź jest prosta: Putin albo Łukaszenka.
Anna Maria Pantera: Ło-bajtek! Tyle jeszcze zostało do przywłaszczenia...
Daniel Len: Tylko Jaki. W dresach.
Krzysztof Olender: Terlecki.

Łukasz Gręda: Beata Szydło, bo ma ładne broszki i życie z nią nie zbrzydło.
Radek Zambrzycki: Ogórek i Jakimowicz rotacyjnie.
Semen Korczaszko: Łukaszenka taki ciepły i serdeczny człowiek...
Pą Pasztet: Zastępca wiceprzewodniczącego gminnych struktur partyjnych, koło nr 26 w Klepszczeborczach.
Filip Pobihuszką: Sasin! Wtedy na pewno się uda!
Jacek Karczmowicz: Lech Kaczyński... dokończyć kadencję!
Wojciech Marian Dudek: Tu potrzeba silnej i zdecydowanej osoby... Tylko Krystyna!
Tomek Śmigulski: Oskar Szafarowicz już przebiera nogami.
Jan Tomczak: Szalony Antoni, co od brzozy chroni.
Maciej Dadej: Ziobro i od razu się właskawi.

Forum

Rubyjorg: Oczywiście Mariusz ucho prezesa abo Siuśki. Najbardziej reprezentacyjne typy prawicy.



Fryz: TOMASZ WATIER

MARTA M.

Co z tego, że nie kradniesz, nie gwałcisz, a nawet nikogo nie zabijasz? Ba, że nie robisz niczego, o czym jest napisane w Kodeksie karnym czy Kodeksie wykroczeń. Bo oba te kodeksy, to nie wszystko. Mnóstwo uchwalanych przez sejm praw ma na końcu artykuł mówiący o sankcjach, jakie spotkają obywatela, który nie przestrzega danej ustawy. Ustawy, o której istnieniu obywatel może nie mieć zielonego pojęcia. A wszak już starożytni doszli do wniosku, że nieznanomość prawa nie zwalnia z przestrzegania go.

Lista znajomych

Dwa lata to dla byłych więźniów żaden wyrok. Głupio by było jednak skorzystać z takiej przerwy w życiu tylko za to, że posiadamy notatnik, smartfon, lub zakładkę na stronie naszego konta bankowego, w której są imiona, nazwiska, adresy i numery kont. Wszystkie te informacje zgromadzone w jednym miejscu, stanowią bowiem bazę danych osobowych.

Ustawa zezwala osobom fizycznym budować takie zestawienia dla celów prywatnych, tyle że zaraz obok przeczy sama sobie w stopniu znacznym. Zabrania osobom fizycznym zbierania i przetwarzania danych osobowych „w związku z działalnością zarobkową i zawodową”.

Jeśli zatem jest się doradcą ubezpieczeniowym, podatkowym, czy choćby nawet i dziennikarzem, to wszystkie zapiski dotyczące klientów, znajomych, ekspertów i lichy wie, kogo jeszcze, trzeba zgłosić do „rejestracji zbioru danych”.

Nawet jak się jest firmą zatrudniającą na etacie dwie osoby, a w internetowej zakładce konta bankowego ma się namiary na dziesiątki osób, którym kiedyś coś się przelewało na konto, to mikrofirma winna się rejestrować w UODO.

Jak ktoś się więc na nas uprze, to każda kontrola w aświe policji może poprosić nas o wydanie kapownika, twardego dysku z listami współpracowników i klientów. A w najgorszym razie – telefonu ze spisem wszystkich kontaktów. Najpierw poproszą, a potem wystąpią do sądu o karę grzywny, ograniczenia wolności lub pozbawienia wolności do roku.

Prawdę powiedziawszy, gdybyśmy podpadli organom bardziej, to mogliby zażądać nawet odsiadki dwuletniej. Taką karę przewidział ustawodawca dla tych, którzy przetwarzają „w zbiorze dane osobowe”. A przetwarzaniem może być już samo głupie ustawienie nazwisk i adresów w porządku alfabetycznym.

Prokuratorom szukającym haków na redakcje przypomnieć należy, że pod powyższe paragrafy podpadają oczywiście wszystkie mające prenumeratorów tytuły prasowe.

Obchodzenie skuteczne

Blady strach powinien paść na wszystkie sklepy handlujące sprzętem komputerowym. Dupą powinni też zacząć trząść serwisanci takiego sprzętu, jego wytwórcy, nie wspominając już o agencjach reklamowych i mediach, w których całe to badziewie elektroniczne się reklamuje. Gdyby jednak wziąć pod uwagę, że komputerami są telefony komórkowe, to lista potencjalnych kandydatów do pudła z powodu naruszania praw autorskich liczyłaby nawet kilkaset tysięcy pozycji.

A wszystko to z tego powodu, że „kto wytwarza urządzenia lub ich komponenty przeznaczone do niedozwolonego usuwania lub obchodzenia skutecznych technicznych zabezpieczeń przed odtwarzaniem, przegrywaniem lub wielokrotnianiem utworów lub przedmiotów praw pokrewnych albo dokonuje obrotu takimi urządzeniami lub ich komponentami, albo reklamuje je w celu sprzedaży lub najmu podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 3”.

Ponieważ 99,9 proc. piractwa autorskiego zachodzi w internecie, a zabezpieczenia to programy, więc każdy laptop i smartfon jest urządzeniem spełniającym wymogi ustawy. Każdy jest więc przestępcą, bo „kto posiada, przechowuje lub wykorzystuje urządzenia lub ich komponenty, o których mowa (powyżej), podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku”.

Fabrykant dopalaczy

Każdy producent i sprzedawca garnków, rondli i szybkowarów powinien nosić przy sobie kilka zapasowych kompletów bielizny i szczoteczkę do zębów. Producenci oraz handlujący precjozami laboratoryjnymi winni jeszcze na dodatek mieć w telefonie numer do zaprzyjaźnionego adwokata. Zaś każdy, kto któryś z wymienionych powyżej towarów zamierza kupić, powinien zawczasu sprawdzić, czy w sklepie nie ma kamer, nikt go nie śledzi i nade wszystko nie wolno mu zapłacić kartą. Nieostrożność podczas zakupu garnków może oznaczać garowanie. Oczywiście za przestępstwa narkotykowe.

Prawo przewiduje dwa lata odsiadki za posiadanie, przechowywanie, zbywanie lub nabywanie przyrządów służących do „niedozwolonego wytwarzania, przetwarzania lub przerobu środków odurzających, substancji psychotropowych lub nowych substancji psychoaktywnych”.



Na trzy lata w odosobnieniu załapać się mogą – przy skrupulatności śledczych – knajpiarze i zdecydowana większość gotujących w domu. A to za „posiadanie środków odurzających”. Lista specyfików i roślin liczy sobie kilkaset pozycji i co roku przyrasta o co najmniej kilkanaście. Nie ma więc siły, by w standardowo wyposażonej kuchni nic z tego się nie znalazło.

Drut kłusowniczy

Wszystkie Obi, Castoramy, Leroye Merliny i setki sklepów z artykułami żelaznymi kwalifikują się do natychmiastowego zamknięcia. Podobnie jak ich szefostwa i personel. Dołączyć do nich powinni również importerzy i producenci drutu. Jednak prawdziwym sukcesem byłoby zamknięcie w więzieniach wszystkich posiadaczy tego ustrojstwa. Drut bowiem jest najczęściej używanym w kłusownictwie materiałem. Służy do robienia wnyków.

A prawo tu jest jednoznaczne. Kto „gromadzi, posiada, wytwarza, przechowuje lub wprowadza do obrotu narzędzia i urządzenia przeznaczone do kłusownictwa” jest przestępcą zasługującym na 12 miesięcy za kratkami.

Tyle samo można dostać za „posiadanie bezprawnie pozyskanej tuszy”. Żeby zatem nie zostać aresztowanym podczas policyjnej prowokacji w czasie kolacji, należy poprosić w knajpie o certyfikat zamawianej dziczyzny.

Jeśli jednak policja nie znajdzie u kogoś drutu lub schabu z zająką, też nie jest bez szans. Zawsze istnieje możliwość, że natknie się na „hodowanego lub utrzymywanego bez zezwolenia charta rasowego lub jego mieszańca”. Ponieważ ustawa nie stanowi, jaki procent krwi charta ma być w naszym psie, istnieje możliwość, że za posiadanie chudego kundla usłyszymy wyrok roku pozbawienia wolności.

Milczenie czyni wolnym

Za mówienie o swojej pracy też jest sankcja. Dwa lata dostaje się, gdy „wbrew ciążącemu obowiązkowi w stosunku do przedsiębiorcy, ujawnia się innej osobie informację stanowiącą tajemnicę przedsiębiorstwa”.

Powtarzanie plotek również może pozwolić na dwuletni pobyt w turmie. Wystarczy, że „uzyskawszy bezprawnie informację stanowiącą tajemnicę przedsiębiorstwa, ujawnia się ją innej osobie”. Największym idiotyzmem tych zapisów, wywodzących się jeszcze pewnie z czasów komuny, jest to, że ustawodawca wpakował tym paragrafem prokuraturę w rozgrywki wewnątrzfirmowe, które powinny pozostać domeną kodeksu cywilnego.

Detektyw w kratkę

Dziwne, że w więzieniach nie ma jeszcze specjalnych bloków dla osadzonych detektywów. A powinien siedzieć każdy z nich. Wszak ustawa o nich stanowi, że „kto podczas świadczenia

CO MYŚLISZ O ZWIĄZKACH JEDNOPEŁCIOWYCH?



Rys. TOMASZ WIATER

usług detektywistycznych wykonuje czynności ustawowo zastrzeżone dla organów i instytucji państwowych”, kwalifikuje się do pudła na trzy lata. Bo przecież każdy detektyw musi podsłuchiwać, nagrywać i filmować, nie wspominając o tak drobnych naruszeniach swobód obywatelskich jak włamywanie się do komputerów, na konta maklerskie i bankowe. I oczywiście może to sobie robić, ale tylko do chwili, gdy komuś podpadnie.

Zmodyfikowany pyłek

Rolnicy są kolejną grupą zawodową, która nie ma prawa robić tego, z czego żyje. Szczególnie ci, którzy utrzymują się z uprawy zbóż. Zboże bowiem ma to do siebie, że zapyla je wiatr. I jak taka cholera przywieje pyłki pochodzące z roślin zmodyfikowanych genetycznie, to załatwia właścicielowi obsianych hektarów dwa lata na państwowym wickie. Wiatru nikt nie posadzi. W przeciwieństwie do chłopą, który w tak niecny sposób „dokonuje transgranicznego przemieszczania organizmów genetycznie zmodyfikowanych przeznaczonych do bezpośredniego wykorzystania jako żywność”.

Ochroniarz naruszony

Ciekawe, ilu emerytów i rencistów pracujących jako ochroniarze zdaje sobie sprawę, że są na najlepszej drodze do spędzenia reszty życia w zakładzie penitencjarnym. I to bez względu na to, czy będą pracowali dobrze, czy źle. Przy odrobinie pecha zadziała wobec nich przepis stanowiący, że „pracownik ochrony, który przy wykonywaniu zadań przekroczył upoważnienia lub nie dopełnił obowiązku, naruszając w ten sposób dobro osobiste człowieka, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5”. Biorąc pod uwagę wątpliwą jednoznaczność „dobra osobistego człowieka” i nieszczególne uposażenia większości ochroniarzy, to robota w tej branży chyba nie jest dobrym pomysłem.

Ściółka delicti

Wejście do lasu też może być przyczyną niefajnych rzeczy. I wcale nie chodzi o kleszcze i przenoszone przez nie choroby. W lasach występuje bowiem „materiał rozmnożeniowy”, czyli „jednostki nasienne – szyszki, owocostany, owoce i nasiona przeznaczone do produkcji materiału sadzeniowego”. Wszelki kontakt z czymś takim może zakończyć się oglądaniem krat przez kolejne trzy lata. Wystarczy bowiem, by jedna z szyszek wylądowała w czyjejs kieszeni, a przy kolejnej wizycie (w innym już lesie) powędrowała znowu w ściółkę. Wyrzucający szyszkę stanie się tym, kto „wykorzystuje leśny materiał rozmnożeniowy do uprawy w lasach lub na gruntach przeznaczonych do zalesienia niezgodnie z zasadami regionalizacji nasiennej”, czyli przestępcą. A wystarczyłoby przecież, by szyszka z kieszeni zamiast na glebę trafiła do krajowego rejestru, gdzie otrzymałaby stosowne certyfikaty uprawniające do pozbycia się jej gdziekolwiek.

Demonstracyjna impreza

Gdyby jednak komuś udało się nie pójść siedzieć za handel garnkami, drutem, bycie ochroniarzem lub deptaczem lasu, niech nie traci nadziei. Wystarczy, że na Facebooku czy innym portalu społecznościowym napisze, że organizuje urodziny czy inną imprezę. Istotne jest, żeby padła data, miejsce i godzina. Przy łucie szczęścia – lub pecha – na zaproszenie ściągnie kilkuset gości. Wraz z nimi pojawi się też policja, a kto wie, czy i nie prokurator. Ich przybycie będzie wiązało się z postawieniem zarzutu o „zorganizowanie imprezy masowej bez wymaganego zezwolenia”. Kilka lat temu taki scenariusz kończący się odczytaniem odpowiedniego kawałka przepisów z ośmioma latami odsiadki, przeżył dziewczę z Krakowa. Bo

przepisy polskiego prawa tylko na pozór wydają się martwe. Gdy trzeba, żeby służby się wykazały, bądź należy komuś konkretnemu zrobić kuku, to ożywają.

TOMASZ BOROWIECKI



W sporze o „antyrosyjską komisję” Hołownia wygrywa, Czarzasty niknie.

Polowanie na pisowskie onuce

Nie macie wrażenia, że Donald Tusk goni w piątkę? Kiedy polityk – a już zwłaszcza szef rządu – pisze cokolwiek w mediach społecznościowych o godz. 23.23, to nigdy nie jest dobry znak.

Przeważnie, powiedzmy sobie uczciwie, oznacza to, że się napierdolił – co jest rzeczą ludzką i zasługuje na zrozumienie. Donald Tusk jednak nie był dotychczas znany z tego akurat przejawu człowieczeństwa, więc wygląda na to, że jest o wiele gorzej: jego nocny wybrzyk twitterowy to (kolejny) wybuch hysterii.

Otwórz oczy

Wpis Donalda Tuska brzmiał: „Rosja to wrogość wobec Zachodu, zwłaszcza wobec Unii, pogarda wobec rządów prawa i wszelkich mniejszości, upartyjnienie gospodarki i mediów, zalegalizowana państwowa korupcja, religia na usługach władzy, panowanie służb specjalnych. Otwórz oczy i poszukaj podobieństw”. I tylko pozornie wymierzony był w PiS. Tak naprawdę, obawiam się, Tusk po nocy opierdała niepokornych koalicjantów.

Kiedy w przemówieniu w sejmie – w zupełnie niezwiązanej z tematem Rosji i szpiegostwa kwestii votum nieufności wobec minister klimatu – Tusk ogłosił, że Zjednoczona Prawica to „płatni zdrajcy, pacholki Rosji”, miałam niepokojące wrażenie, że premier „demokratycznej większości” ściga się z prezesem PiS i jego pamiętnymi „mordami zdrazieckimi”.

Czym innym jest wzajemne obrzucanie się odpowiedzialnością za strzelające na Kremlu korki od szampana (ileż, skądinąd, trzeba narodowej megalomanii, żeby uważać, że Putin tak się ekscytuje wewnętrznymi sprawami Polski) – a czym innym stwierdzenie, że formacja, na którą głosuje 7,5 mln Polaków, intencjonalnie i za pieniądze służy nieprzyjawnemu krajowi.

W tym samym sejmowym wybuchu premier poniesiony antypisowskim szaleń zapowiedział, że powstanie „komisja, którą powołamy już w zgodzie z konstytucją”, aby „zbadala bardzo precyzyjnie – nie przed kamerami, bez cyrków, bez festiwali medialnych – wpływy rosyjskie i białoruskie na rządy Zjednoczonej Prawicy”. Warto zwrócić uwagę na to sformułowanie: szef rządu mówi otóż wprost, że komisja ma jedno zadanie i jest nim polowanie na opozycję. Mógł powiedzieć, że komisja będzie badała wpływy rosyjskie i białoruskie w Polsce, albo w polskiej klasie politycznej, albo w polskim życiu publicznym – co w gruncie rzeczy oznaczałoby to samo, ale jednak zabrzmiałoby inaczej.

Spontaniczna szczerość Tuska w ogłaszaniu planu polowania na pisowskie onuce współgra z faktem, iż pomysł komisji nie był w żaden sposób uzgodniony z koalicjantami – wprost mówi o tym marszałek Hołownia. Premier jednak okopał się na swoich pozycjach i dzień później ogłosił na konferencji prasowej, że minister Siemoniak już napisał ustawę o takiej komisji i rząd zajmie się nią za tydzień.

Komisja ma pracować głównie na dokumentach, ale niewykluczone, że świadków też będzie powoływać; nie ma „osądzać indywidualnych osób”, ale może donosić na nie do prokuratury.

Kłótlivy teatr

W tym momencie Hołownia zarył obcasami i ogłosił – także na ex-Twitterze, a jakże – że „kolejna antyrosyjska komisja to zły pomysł”, bo „od ścigania szpiegów są służby, nie komisje sejmowe”.

„Sprawa Szmydta to robota dla kontrwywiadu. Polacy nie potrzebują kolejnego kłótlivego politycznego teatru: potrzebują skutecznych służb i posłów, którzy skupią się na tworzeniu dobrego prawa” – napisał Hołownia, podważając nie tylko przyszłą antyonucową komisję, ale także te trzy, które już działają (będąc skądinąd jedynym wyrazistym przejawem wypełniania obietnic wyborczych PO). Sformułowanie o „kolejnym kłótlivym politycznym teatrze” zdaje się dość wyraźną sugestią, że dotychczasowe osiągnięcia komisji śledczych marszałek sejmu ceni niewysoko. Nawiasem mówiąc – trudno się z nim nie zgodzić.

Swoją drogą: fakt, że Polska 2050 nie zawalczyła o przewodnictwo żadnej z komisji, oddając swoją ewentualną miejscówkę Magdalenie Sroce, która po wejściu do sejmu szybciej zapisała się do PSL, wyglądał na efekt wewnątrzkoalicyjnych ustaleń Trzeciej Drogi – ale teraz widać, że mógł być także przejawem strategicznego myślenia Hołowni. Któ-

ry nie chciał, żeby jego partia brała odpowiedzialność za coś, co z góry zapowiadało się jako „kłótlivy teatr”. Stwierdzenie, że Szymon Hołownia z żelazną konsekwencją zachowuje marszałkowską godność i trzyma się z daleka od wiejskiej potańcówki, jaką jest dziś polski parlamentaryzm, byłoby mocno na wyrost – ale obiektywnie rzecz biorąc, ze wszystkich gwiazd nowej władzy on jeden podejmuje takie próby od czasu do czasu. Ostatnio wyraźnie częściej – może dlatego, że sondaże wskazują, iż tego właśnie oczekują jego wyborcy.

Po sejmowym wybuchu Tuska IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej” zapytał Polaków, czy podzielają jego opinie o tym, że PiS to płatna ruska agentura. 30 proc. Polaków podziela, a 60 proc. – nie. Co ciekawe, nawet wśród wyborców PO co piąty jest przeciw tej dziwacznej enuncjacji. Jednak po stronie koalicji 15 października najsurowiej oceniają wyskok premiera właśnie wyborcy Trzeciej Drogi: 71 proc. nie zgadza się z obelgami szefa rządu; tylko 13 jest na tak.

Niesforni wyborcy TD

Inny zamówiony przez „Rzecz” sondaż sprawdził, co Polacy myślą o Tuskowej komisji. Tu opinie były nieco bardziej zrównoważone – 46,6 proc. za; 41 proc. przeciw – ale znów wyróżnili się wyborcy TD, wśród których przeważali przeciwnicy. 30 proc. ocenia pomysł źle, 35 proc. – dobrze, pozostałe 35 proc. nie ma zdania. Co wskazuje, że co

Narodowi czempioni cinkciarstwa

Jak oszukiwać wyborców, aby wygrać wybory do Parlamentu Europejskiego?

GADMAN

Zapytano premiera Orbána, czy Węgry zostaną w Unii Europejskiej, jeśli staną się tam płatnikami netto. Czyli doczekają czasów, gdy więcej będą wypłacać do wspólnego budżetu Unii, niż z niego wyciągać. Zapytano, bo oczekiwano z góry wiadomej odpowiedzi. Orbán wiele razy deklarował wolę uprawiania polityki zwanej w Polsce „wyciskaniem brukselki”. Podczas spotkania z prezesem Kaczyńskim w Krynicy przypomniał stare polsko-węgierskie powiedzonko, że dobra przyjaźń jest wtedy, kiedy wspólnie „można konie kraść”. Na co prezes Kaczyński szybko dodał, że zna miasto, gdzie jest taka zasobna stajnia.

Ale ku zdumieniu pytających Orbána dziennikarzy, premier Węgier zadeklarował wolę pozostania w Unii Europejskiej. Bo wtedy głos Węgier jako tego sponsora Unii będzie więcej znaczył.

Wtedy pozostałe państwa Unii będą wręcz zmuszone do liczenia się ze stanowiskiem Węgier.

Polak, Węgier, dwa bratanki...

Premier Orbán czyni z Węgier regionalne mocarstwo. Takie mini mocarstwo na miarę dawnych pancerników kieszonkowych, mocarstwo medialne przede wszystkim. Opium mocarstwowości, odrębności i suwerenności Węgrom serwuje. Preży w węgierskich mediach antybrukselskie muskuły, uraga unijnej biurokracji, ale mięknie, wycofuje się, kiedy Bruksela serio już grozi wstrzymaniem unijnych wypłat. Wie, że tylko członkostwo Węgier w Unii Europejskiej czyni go atrakcyjnym i pożądanym parterem dla Rosji i Chin.

Dzięki swej prorosyjskiej polityce może zmuszać Ukrainę do prowadzenia preferencyjnej polityki wobec mniejszości węgierskiej zamieszkałej na ukraińskim Zakarpaciu. Może liczyć na preferencje w przyszłej kooperacji gospodarczej z Rosją.

Dla Chin malutkie Węgry są atrakcyjne, bo należą do Unii Europejskiej. Bo przyjazne im Węgry mogą tam blokować, osłabiać ewentualne bariery dla chińskich produktów. Przede wszystkim dla samochodów elektrycznych i oprzyrządowania do odnawialnej, zielonej energii. Aby wzmocnić pozycję swego europejskiego partnera, przywódca Chin obiecuje liczne chińskie inwestycje na Węgrzech. Być może niektóre z nich zostaną nawet zrealizowane, choć chiński biznes wie, że państwo o populacji ośmiu milionów, czyli średniego chińskiego miasta, nie jest atrakcyjnym rynkiem zbytu. Warto przypomnieć, że obiecywana od 10 lat przez Chińczyków szybka kolej Belgrad – Budapeszt nadal nie jest ukończona. Choć w Chinach budowa odcinka podobnej długości trwałaby maksimum dwa lata.

W tegorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego po raz pierwszy Polska prezentuje się jako mocarstwo. Regionalne rzecz jasna. Jako też kandydat do grona 20 najbogatszych państw naszego globu.

Pewnie dlatego polityki wobec Unii Europejskiej prezentowane polskiemu ludowi wyborczemu przez konkurujące komitety wyborcze oparte są na pobudzaniu dumy narodowej podszytej tradycyjnym polskim cwaniactwem.

Chylę kapelusza wobec partii prezesa Kaczyńskiego, która doszła do perfekcji w oszukiwaniu swego ciemnego ludu wyborczego. Pan prezes Kaczyński znów pielgrzymuje po kraju i cuda, cuda obiecuje. Przede wszystkim likwidację programu Zielonego Ładu. Choć to komisarz UE ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski ten ład współtworzył i reklamował. Komisarz z rekomendacji pana prezesa Kaczyńskiego. Ów Zielony Ład zaakceptował też namaszczony przez prezesa Kaczyńskiego premier Mateusz Morawiecki. Dziś pan prezes wypiera się Zielonego Ładu, jak kiedyś apostoł Piotr tchórzliwie wypierał się znajomości z aresztowanym Jezusem.

Bujara tu, Bujara tam

Członkostwa Polski w Unii Europejskiej prezes Kaczyński jeszcze się nie wypiera. Taktycznie zapewne. Ale za jego plecami rośnie już grono zwolenników wyprowadzenia Polski z „euroko-

chozu”. Zauważcie, że ostatniej wielotysięcznej demonstracji w Warszawie przeciwko temu zmniologizowanemu już Zielonemu Ładowi nie zorganizowały struktury PiS, lecz struktury NSZZ Solidarność. Stało się tak, bo ów „związek zawodowy” ma duże finansowe fundusze, ludzi gotowych do demonstrowania, w przeciwnieństwie do skłóconych po przegranych wyborach samorządowych aktywistów Zjednoczonej Prawicy. Ma też NSZZ Solidarność zastępy doświadczonych zadymiarzy.

Poza tym koszty takiej demonstracji urządzonej w czasie kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego nie wliczają się do kosztów ponoszonych przez komitet wyborczy PiS. Nie podlegają tak szczegółowej kontroli, jak inne imprezy ze stemplem kampanii wyborczej.

Zawsze ten, kto płaci za obiad, decyduje o serwowanych tam daniach. Zatem nie dziwny się, że na demonstracji przeciwko Zielonemu Ładowi obok eurosceptycznego prezesa Kaczyńskiego maszerowali liczni zwolennicy wymarszu Polski z Unii Europejskiej. Nie kryli się ze swymi poglądami, nie stanowili marginesu demonstrujących.

Wszystkim, którzy ludzą się, że w Polsce nie ma jeszcze silnego ruchu na rzecz wyjścia Polski z Unii Europejskiej, polecam telewizję Trwam ojca dyrektora Rydyzka. Tam w sztabowym programie publicystycznym „Polski punkt widzenia” regularnie prezentuje się pan Alfred Bujara.

Ewentualnych żartownisiów z brzmienia jego nazwiska uprzedzam, że jest to wielce wpływowa eminencja w NSZZ Solidarność. To aktualny przewodniczący Sekcji Krajowej Pracowników Handlu tego związku.

Trzeba przypomnieć, że to ten działacz NSZZ Solidarność, który doprowadził do uchwalenia przez sejm zakazu handlu w niedziele i święta. Pracował nad tym systematycznie przez kilkanaście lat. Wzywał do zakazu handlu w imię religii katolickiej, dobra polskich handlowców i rozwoju małych, polskich sklepów.

W efekcie tego zakazu 15 tys. małych polskich sklepów już zbankrutowało, za to wzbogaciły się na tym dwie wielkie zagraniczne sieci dyskontowe. Ale tak to jest, kiedy myśli się religijnie, ideologicznie, a nie ekonomicznie, realnie.

Teraz przewodniczący Bujara zapowiada u ojca Rydyzka wielki marsz NSZZ Solidarność

w celu wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej. Najpierw Solidarność zorganizuje referendum w tej sprawie. Już teraz, jak chwalił się wielokrotnie przewodniczący Bujara, jego związkowcy zebrali 150 tys. podpisów popierających wniosek o rozpisanie takiego referendum. Ale to dopiero początek. On i przewodniczący Piotr Duda nie spoczną, aż nie zbiorą miliona podpisów. Wtedy nawet marszałek sejmu Szymon Hołownia nie schowa ich wniosku do sejmowej zamrażarki.

Jeśli dojdzie do referendum, to przewodniczący Bujara wierzy w jego sukces. Bo Polacy już zaczynają się bać Zielonego Ładu i coraz więcej Polaków bać się go będzie. Zwłaszcza, że przewodniczący Bujara bardzo aktywny jest w narodowo-katolickich mediach. Buja tam jak z nut, że w efekcie Zielonego Ładu produkcja rolnicza zostanie wyprowadzona z Polski do Chin. Polakom zakazuje Unia posiadania tradycyjnych samochodów i jedzenia mięsa. A wtedy wszyscy Polacy będą parobkami u niemieckich bauerów.

Strategia cinkciarza

We Francji przy okazji kampanii wyborczej do europarlamentu prezydent Emmanuel Macron wznowił debatę o przyszłości i reformach Unii Europejskiej. O miejscu odnowionej Unii w świecie. Zupełnie abstrakcyjną w obecnej Polsce. Dowodzącą, że mamy Unię dwóch prędkości, także intelektualnej.

Polska jest już 20 lat w Unii Europejskiej, ale nadal polska klasa polityczna i medialny komentariat mają mentalność polskiego cinkciarza. Traktują Unię jak kiedyś polscy biznesmeni nielegalnie wymieniali walutę zachodnim turystom. Ci uczciwi biznesmeni zadowalali się wysoką marżą. Ci nieuczciwi zamiast polskich pieniędzy wciskali swym klientom podróbki i potem dumni byli, że tak oto patriotycznie wyrównują historyczne rachunki krzywd.

Teraz w czasie kampanii wyborczej podobnie jest. Ci uczciwi euroentuzjaści traktują Unię Europejską jak dobrą ciocię, która daje nam pieniądze z KPO i może jeszcze dodatkowo sypnie tanimi biletami dla podróżujących studentów. Dlatego warto w tej Unii być dalej.

Co robi Polska, kiedy stanie się płatnikiem netto, o tym się już publicznie nie debatuje. Aby nie zniechęcić dumnych mocarstwowych Polaków do brukselskiego bankomatu.

Zwolennicy polexitu już szykują się do wymarszu z Unii Europejskiej. Ale wcześniej honorowo wycisną ostatnie euro z tej wrażej brukselki.

Wszyscy oni – i entuzjaści Unii, i jej przeciwnicy – wierzą, że Polska jest tak wielka, że zawsze jakąś jałmużnę od kogoś dostanie.

Na ich tle Orbán jawi się politykiem wielkiego formatu, wręcz mężem stanu.

PIOTR GADZINOWSKI





trzeci zwolennik tandemu Hołownia–ludowcy ma problem ruskiej agencji w dupie, co jest skądinąd absolutnym rekordem. Drudzy w obójności są wyborcy lewicy, z których olewanie zadeklarował co piąty; ale za to aż trzy czwarte chciało ścigać ruskich pisowców.

Szymon Hołownia w ostatnich miesiącach zanotował wyraźny spadek poparcia. Po kunktorstwie, jakie wykazał w sprawie aborcji, w rankingach zaufania zleciał z pierwszego miejsca na trzecie, za Tuskiem i Dudą. Co więcej, nieufność wobec niego od grudnia wzrosła z 28 do 45,6 proc. To szczególnie ryzykowne dla polityka, który ma ambicje prezydenckie oparte głównie na niskim współczynniku elektoratu negatywnego. Obstawiam, że Hołownia przeanalizował te (i inne, robione na zamówienie swojej partii) sondaże i doszedł do oczywistego wniosku, że poprzedni wizerunek – marszałka unoszącego się nad chlapiącym po sali błotem – lepiej mu służy.

Wobec beczelnej niesubordynacji koalicjanta Donald Tusk nagle zmienił zdanie: okazało się, że komisja ma być rządowa, powołana przez premiera w ramach kancelarii, a zatem bez konieczności przyjmowania ustawy – w podtekście: Hołownia może go w dupę pocałować. Nie da się jednak ukryć, że własna komisja premiera – powołana przez niego w czełusciach jego urzędu z rękami wybranych przez niego „ekspertów” i pracująca po cichutku pod jego dyktando – impakt polityczny będzie miała raczej wąski.

Ograniczyć się on do zaprzysięgłych wyznawców, którzy i tak myślą to, co Tusk im każe. Krnąbrność Hołowni brutalnie podcięła skrzydła przedstawieniu politycznemu, na które Tusk wyraźnie liczył po żalosznej historii sędziego Szmjdyta.

Interesujące jest skądinąd, iż po wpisie Hołowni na temat zbędności „kolejnej antyrosyjskiej komisji” spontanicznie zareagowała szefowa klubu parlamentarnego lewicy Anna Maria Żukowska. „Pełna zgoda” napisała, krótko i treściwie, co skłoniło komentatorów do spekulowania, że do buntu Hołowni przylączya Czarzasty.

Czarzasty, ogień, woda

Póllider lewicy szybko przeciał te spekulacje. W śródowny poranek Czarzasty całą swą wizytę w TVN24 poświęcił na tłumaczenie, dlaczego obydwa mają rację, ale Tusk bardziej. W nietypowo dla

siebie pokrętnym i niegramatycznym wywodzie, okraszonym – bardzo typowym dla siebie – bezzasadnie protekcyjnym uśmiechem, Czarzasty tokował (cytuje dosłownie): „Polacy mają taką tendencję rzucania się w skrajności... Znam takie zdanie: »po co nam komisja, jak służby powinny dobrze funkcjonować?«. Szanując Szymona, bo żeśmy się pogodzili, wszystko jest w porządku, ja mam pytanie takie: w czym przeszkadza funkcjonowanie komisji złożonej z wybitnych specjalistów – bo tak ją rozumiem – oraz świetne funkcjonowanie służb? Zawsze będzie taka sytuacja, że służby czegoś nie zauważą, zawsze będzie coś takiego, co komisja może znaleźć, w związku z tym ja się opowiadam, po pierwsze, za bezpieczeństwem Polski, ale z tego wysnuwam taki wniosek: jeżeli działania komisji specjalnej pomogą nam w bezpieczeństwie, trzeba ją powołać, a służby powinny oczywiście pracować jak najlepiej. Pogodziłem ogień z wodą?»...

Dla porządku: nie, Włodziu, nie pogodziłeś. Cały ten monolog mówi tylko jedno.

Co brawurowo ujmę w parafrazie psalmu: „Tusk jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie, na niwach zielonych pasie mnie”.

Co jest tylko połowicznie prawdą: nie wątpię, że liderzy lewicy czują się upasieni, ale radykalnie braknie im czegoś, co politykom się przydaje. Mianowicie wyborców.

Uczciwie trzeba powiedzieć, że według sondaży wyborcy lewicy są szczególnie entuzjastycznie nastawieni wobec Tuskowych planów polowania na rusko-PiS: 75 proc. jest za powołaniem komisji; 58 proc. zgadza się z tezą o „płatnych zdrajcach”. Moim zdaniem, kierują się w tym bardziej pismofo- bią – w której przewodzą między elektoratami – niż rusofobią, w której mieszcza się w średniej krajowej.

Z drugiej wszakże strony, wciąż powraca pytanie: po cholerę komu lewica, która myśli, mówi i robi to samo, co silniejszy, prawicowo-liberalny koalicjant? Czemu głosować na mniejszą partię, która nie różni się niczym od większej?

Słowem: o co walczymy, dokąd zmierzamy? Poza trzema stanowiskami ministerialnymi, trzema mandatami do europarlamentu i połową kadencji marszałka? Bo to trochę mało, żeby wychodzić z domu.

Co mówię jako elektorat.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

ETYKA
BEZBOŻNA

Upadek człowieka

Upadek może jeszcze nie całego rodzaju ludzkiego, lecz jednego z jego znacznych przedstawicieli, jakim, sądząc po wysokich tytułach zawodowych, był Tomasz Szmjdt. Bardzo chciałbym poznać bliżej „anatomię upadku”, tego upadku. Choćby dlatego, żeby się ustrzec. Bo może tak jest, że w każdym albo w prawie każdym z nas tkwi jakieś głęboko ukryte zarzewie moralnej degeneracji?

Szmjdt, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ruski szpieg na stanowisku sędziego, jawi się w kuriozalnych wywiadach w ruskich mediach człowiekiem wewnętrznie wyniszczonym. Z ogólnego bełkotu wydobywającego się z jego ust przebijają się głównie wiernopoddane deklaracje wobec Łukaszenki. Umysł Szmjdyta wydaje się osłabiony i jakby zredukowany do czynności niezbędnych dla przetrwania. Trudno powiedzieć, czy trawi go lęk, czy może jest pod wpływem jakichś środków, ale zachowuje się jak człowiek bezwolny i nieinteligentny, sterowany z zewnątrz i jakoś nienaturalnie beznamiętny. Głupkowato uśmiechnięty, z poobijaną gębą...

Niestabilność Szmjdyta – kto wie, czy niemająca podstaw w jakichś zaburzeniach osobowości – dawała o sobie znać już wcześniej. Aktywny uczestnik afery hejterskiej, bohater burzliwej miłosnej dramy, w której sam Kaczyński wystąpił w roli opiekuna i wspomożyciela, przechodzący następnie na dobrą stronę mocy... Człowiek do wyjęcia? Człowiek bez skrupułów? Narcystyczny karierowicz gotowy na wszystko?

Strach pomyśleć o tych wszystkich dysfunkcjach i patologiach, które umożliwiły mu karierę. A jeszcze bardziej zasmuca i przeraża słabość człowieka, który z biegiem lat stacza się w jakieś ostateczne łajdactwo i bezwysty.

W wypowiedziach Szmjdyta można jednakże dosłuchać się czegoś na kształt usprawiedliwienia.

Kazano mu podkreślać, że Polacy kochają Białorusinów i Rosjan, a przy okazji także Ukraińców. Ma to znaczyć, że wszystkim nam potrzebny jest ruski, a nie brukselski mir. Przekaz jest jasny i znany, bo stanowi stały motyw propagandy Kremla. Niemniej wydaje się bardzo prawdopodobne, że Szmjdt jest w jakiejś mierze szczerzy. Od lat obnosił się wszak ze swoją rusofilią. Był z tego znany, jakkolwiek w środowiskach narodowo-katolickich nikt go nie dziwiło i nie raziło, bo fascynacja Rosją zawsze była jednym z nurtów skrajnej prawicy i reakcji. Byli i są w Europie panslawiści uważający za rzecz naturalną, że Rosja panuje przynajmniej nad prawosławną

słowiańszczyzną. Propaganda rosyjska odwołuje się do tej ideologii, a ludzie tacy jak Szmjdt mają upowszechniać ją w ościennych krajach. I sądzą, że byłibyśmy znacznie bardziej odporni na myślenie w duchu ruskiego miru, gdybyśmy w ciągu minionego trzydziestolecia umieli zbliżyć się do Rosjan i ich kultury, jasno oddzielając stosunki między narodami od wspierania brutalnego reżimu Putina. Znając Rosję i nie bojąc się Rosji, nie tworzylibyśmy przestrzeni dla Szmjdyta mówiącego nam, że powinniśmy na Rosjan być bardziej otwarci. A gdy teraz mówi nam to ruski szpieg, zainstalowany blisko szczytów władzy, możemy się tylko przekonać, jak wiele straciliśmy utożsamiając całą Rosję z Putinem.

Pewnego rodzaju ideowość zapewne zawsze ma swój udział w procesie moralnego upadania. Człowiek tłumaczy sobie swoje zepsucie, swój udział w rozmaitych intrygach, przekupstwach i zdradach wyższym, ideowym celem. Wmawia sobie, że nie jest łajdakiem, bo służy sprawie wymagającej nadzwyczajnych środków. Jeśli połączyć to z poczuciem własnej wyjątkowości i wynikających z tego rzekomych większych praw (łącznie z prawem do łamania prawa), to mamy już gotowy mechanizm uniwersalnego samousprawiedliwienia. Taki człowiek nie cofnie się przed niczym, jeśli tylko łajdactwo, którego domaga się od niego jego plan kariery, faktycznie służy interesom tego wyjątkowego Ja, jego wyjątkowej Racji i jego Sprawy.

Patrzę na siebie podejrzliwie i zadaję sobie pytanie, do czego sam byłbym zdolny. Gdyby jakieś okoliczności postawiły mnie przed pokusą, aby zdobyć pieniądze i władzę kosztem draństwa, to czy uległbym jej, tłumacząc sobie, że jestem człowiekiem wyjątkowym i mam specjalne prawa? Może uznałbym, że nie zostanę przecież pospolitym łajdakiem, a co najwyżej postacią „dwuznaczną”, a jeszcze lepiej: „tragiczną”?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nikt nie zna samego, samej siebie tak dobrze. I właśnie dlatego, jakby z lęku przed ukrytym w sobie złem, powstrzymujemy się od radykalnego potępienia złoczyńców. Widzimy w nich najgorsze wersje samych siebie i własnego losu. W dziwny sposób solidaryzujemy się z nimi poprzez uczucie litości. Tak, Szmjdt jest godny litości, która w tej odmianie nazywa się politowaniem. Ze smutkiem, odrazą, lecz i politowaniem patrząc na upadek Tomasza Szmjdyta, patrzymy na moralną otchłań, która pociąga również nas samych.

JAN HARTMAN



WIEŚCI GMINNE I INNE

■ O godz. 3.30 w nocy z soboty na niedzielę, w hali targowej przy ul. Marywilskiej w Warszawie, gdzie znajdowało się 1400 stoisk, w dziewięciu miejscach na raz wybuchły pożary, które strawiły majątek kilku tysięcy ludzi. Pożar ugasiło 240 strażaków przy pomocy sprzętu przywiezionego na 99 wozach bojowych. Pierwsze jednostki pojawiły się w miejscu tragedii w dziewięć minut po ogłoszeniu alarmu. Logicznym wydaje się przypuszczenie, że było to podpalenie.

■ Przez Warszawę przeszli rolnicy. Domagali się likwidacji dotacji unijnych dla rolnictwa, wprowadzenia cel na wwoz polskich ziemniaków do Niemiec (nie będziemy dokarmiać szkółek), zakazu importu cytryn, które można stosować kwaśną kapustą i żeby jabłka były po 8 zł, a nie po 4 zł, jak to jest dotychczas. Nie chcą też dopłat do paliwa rolniczego oraz żądają likwidacji KRUS-u.

■ Dla radnych i tych, którzy radnymi nie zostali: pełnomocnik finansowy komitetu wyborczego ma obowiązek przedłożyć komisarzowi wyborczemu sprawozdanie finansowe w terminie trzech miesięcy od dnia wyborów. Niezłożenie owego jest przestępstwem przeciw wyborom, ściganym z urzędu. Przypadek autentyczny: nauczycielka ubiegła się o mandat radnej. Złożyła więc swój własny komitet wyborczy, którego była pełnomocnikiem. Radną nie została. Sprawozdania nie złożyła. Komisarz zawiadomił prokuraturę. Ta postawiła nauczycielkę w stan oskarżenia. Wiązało się to z tymi wszystkimi nieprzyjemnościami jak pobieranie odcisków linii papilarnych, pozowanie do zdjęć sygnalitycznych i składanie wyjaśnień w komendzie policji. Wobec bezspornej winy, nauczycielka powinna być prawomocnie skazana. Wiązałoby się to z utratą prawa

do wykonywania zawodu. Sąd musiał się bardzo napracować, aby do skazania nie doszło. Sprawa trwała pięć lat. Sprawozdanie może być błędne albo niekompletne, a nawet puste, jeżeli komitet nie poniósł żadnych kosztów. Ale złożenie jego jest konieczne.

■ Jodła pospolita rosnąca w Pienińskim Parku Narodowym jest najwyższym rodzimym drzewem polskim. Nie mylić z najwyższym drzewem w Polsce w ogóle. Jej wysokość wynosi 55,86 m – wynika z badań opublikowanych przez Katedrę Bioróżnorodności Leśnej Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Badania (znaczy pomiary wysokości) prowadziło czterech naukowców, których personalia i tytułatura napisane w całości byłyby dłuższe niż ta jodła wysoka. Najwyższym w ogóle drzewem w Polsce, a zarazem najwyższym organizmem żywym w naszym kraju, jest daglezia zielona Helena. Ma 120 lat, rośnie w Nadleśnictwie Bardo nieopodal Kłodzka. Jej wysokość, według ostatnich danych z 2022 r., to 59,40 m.

■ We Wrocławiu do mieszkania w Śródmieściu włamał się ośmioletni chłopiec. Złupił lokal z zabawek, słodczy, sprzętu komputerowego, ale nie zapomniał także o pieniądzech. Techniki złodziejskiej i pragmatyki nauczył się oglądając tutoriala na YouTube. Nie obejrzał wszystkiego. Zaniedbał poradniki o bezpiecznej ewakuacji z miejsca przestępstwa. Dlatego możemy o tym napisać.

■ Wieś Brzóki (woj. zachodniopomorskie) opanowana została przez wilki. Na razie nie doszło do incydentów przemocy międzygatunkowej między zwierzętami a ludźmi. Mieszkańcy domagają się odstrzelenia drapieżników. To jest niewykonalne w obecnym stanie prawnym. Wilków Polsce jest tylko 4 tys. i są pod ścisłą ochroną. Gdyby jednak ktoś pomylił je z dzikami, których jest w Polsce jakieś 400 tys., to sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Myśliwym wszak podobne pomyłki się zdarzają.

■ W ciechanowskim WORD-zie, czyli Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego, u jednego z egzaminatorów nie zdaje 97 proc. adeptów prawa jazdy. Ów surowy człowiek uzyskał status „Pogromcy z Ciechanowa”, ponieważ zdawać u niego egzamin to tak, jakby go w ogóle nie zdawać. Dyrekcja ośrodka nie chce podać nazwiska.

Bardzo niesłusznie. Takie pogromy rzucają się cieniem na wyobrażenia społeczeństwa o kwalifikacjach wszystkich egzaminujących w Ciechanowie. W naturalny sposób odstręczają ubiegających się o prawo jazdy od usług placówki. W sytuacji, kiedy egzamin zdawać można w każdym innym ośrodku ruchu w Polsce, niestawa wpływa niekorzystnie na stan finansowy firmy.

■ Do placówki Straży Granicznej w Bobrownikach zgłosił się z prośbą o azyl polityczny białoruski owczarek niemiecki. Białoruski niemiecki służył dotychczas w jednostkach białoruskiej straży granicznej, co wynikało z napisu na obroży. Azyl został psu udzielony. Rozpoczął się proces naturalizacji.

■ Prof. dr. hab. Wojciech Kudyba, polonista, otrzymał ocenę niedostateczną z wypracowania, jakie napisał w zastępstwie jednego z uczniów II Liceum Ogólnokształcącego w Nowym Sączu z języka polskiego. Sprawdzająca pracę pani magister, która nie wiedziała, że jej autorem jest pan profesor, wytknęła pracy domowej liczne braki merytoryczne, nieporadność językową i zdawkowe potraktowanie tematu.

■ Po 30 latach istnienia szwalni odzieży firmy Levi Strauss w Płocku zostanie ona zlikwidowana. 650 osób straci pracę. Dyrekcja koncernu odzieżowego tłumaczy, że koszty zatrudnienia krawców w Polsce są za wysokie. Nawet przy cenie portek oscylujących w okolicach 500 zł nie pozwalają wyjść im na swoje. Byliśmy na uroczystości otwarcia tej fabryki. Był prezydent miasta, ksiądz i żołnierz wyklęty. Kolejka do przyzakładowego sklepu ciągnęła się na 500 metrów.

■ Poprzedni, ale i obecny prezydent Bydgoszczy Rafał Bruski wyliczył, że w latach 2019–2024 budżet miasta na skutek zmian systemu podatkowego straci 673 mln zł. Następnie prezydent wyliczył, że za te pieniądze można by utwardzić 250 km dróg, zbudować 16 trybun na stadionie Polonii Bydgoszcz albo zorganizować 130 turniejów Grand Prix i 200 festiwali Camerimage albo zwiększyć przewozy Miejskich Zakładów Komunikacyjnych o 50 proc. Jakby się temu przyjrzeć dokładniej, po pierwsze, budżet nie stracił, tylko nie zarobił, a jest to więcej niż subtelna różnica. Po wtóre, biorąc pod uwagę katalog

hipotetycznych wydatków, to chyba jednak te pieniądze nie byłyby w Bydgoszczy potrzebne. Bardzo nam się nie wydaje, aby Bydgoszcz musiała organizować 200 festiwali, 130 turniejów, a jej komunikacja miejska przewozić 50 proc. pasażerów więcej, niż to robi obecnie.

■ Turystka z Łotwy miała w żołądku ponad milion złotych. Nie w gotówce, lecz w kokainie. W rezultacie kontroli osobistej na lotnisku Chopina w Warszawie i tomografii komputerowej przewodu pokarmowego ustalono, że przemyciła w żołądku 78 kapsułek kokainy o wadze 890 g. 200 gramów miała w foliowej torbie w bagażu podręcznym. Ale generalnie wychodzi na to, że narkotyki miałyby trafić do czamorynkowego handlu via anus. I weź teraz kup sobie czystą kokainę.

■ Hakerzy opanowali strefy płatnego parkowania w Szczecinie, wprowadzając do automatycznego systemu poboru opłat parkingowych niewłaściwe numery kont bankowych. Przez to pieniądze za parkowanie przelewane były nie wiadomo dokąd. Władze spółki Nieruchomości i Opłaty Lokalne w Szczecinie dowiedziały się o przekręcie, kiedy zgłosiło się do nich ponad 600 kierowców. Skarżący się utrzymywali, że za postój zapłacili, a mimo to dostali wezwania do uiszczenia opłaty dodatkowej. Hakerów i forsy szuka prokuratura. Gmina Szczecin wyjaśniła, że pracuje nad rozwiązaniem, które umożliwi zwolnienie z dodatkowych opłat oszukanych kierowców. Jeżeli wolno zauważyć, to przede wszystkim gmina została okradziona, a kierowcy tylko pośrednio, a może nawet w ogóle.

■ Firma Stalexport Autostrada Małopolska administrująca 60-kilometrowym odcinkiem autostrady A4 Katowice–Kraków ujawniła finanse. W obecnym roku w ciągu trzech miesięcy przychody wyniosły 127 mln zł, a zysk 57,18 mln. Wychodzi na to, że zamiatanie kilometra drogi miesięcznie kosztuje ponad 300 tys. zł. Zatem 32 zł za przejazd w obie strony to relatywnie umiarkowana zapłata.

RJ

PS Wieści pochodzą z prasy lokalnej. Niektóre są do bólu prawdziwe. Inne prawdziwe na tyle, na ile się kolegom w terenie udało. Odzegnujemy się od wszelkich konsekwencji prawnych prawd i fałszów z nich wynikłych.

Lewica robi dobrze komornikom.

Egzekutor nas wybawi

Posłanka Anita Kucharska-Dziedzic z Zielonej Góry znowu dała o sobie znać. W lutym popisała się w mediach społecznościowych wpisem: „Drogi żołnierzu, wysyłaj Cię na wojnę. Straszne? Ale w nagrodę możesz sobie pogwałcić”. Była to odpowiedź na zarzut społecznego rzecznika praw mężczyzn, że ciała mężczyzn należą nie do nich samych, ale do państwa, które w każdej chwili może je wysłać na wojnę. Wpis Kucharskiej-Dziedzic obruszył nawet jej koleżanki partyjne z Anną Marią Żukowską na czele („Anita, co Ty pierdolisz???” – odpisała jej Żukowska).

Tym razem Anita Kucharska-Dziedzic wystąpiła z interpelacją do innej partyjnej koleżanki Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, minister pracy, rodziny i polityki społecznej. Kucharska-Dziedzic proponuje, aby kancelarie komornicze (niezbyt udany chlubny produkt kapitalizmu, z egzekutorami często działającymi na granicy prawa i nieackającymi się z nikim i niczym) miały prawo dokonywać egzekucji komorniczej nawet z płacy minimalnej. Na zasadzie: a zychaj sobie, chuj ci w cholewy.

do 60 proc. płacy minimalnej, więc ta sprawa jest załatwiona. Trudno, aby o tym nie wiedziała, skoro zajmuje się tą tematyką od lat. Ale dorzuca zaraz drugi niebagatelny argument: przecież po podniesieniu płacy minimalnej ci, którzy ją otrzymują, są w chuj bogaci. Niemal kreżusi. A na pewno polska klasa średnia. Aktualnie – jak wiadomo – minimalne wynagrodzenie wynosi 4242 zł brutto czyli 3222 zł netto. Od 1 lipca 2024 r.

kwota ta ma wzrosnąć do 4300 zł brutto czyli 3262 zł na rękę. Rzecz dotyczy 20 proc. zatrudnionych, czyli ok. 3,6 mln osób, bo tyle otrzymuje u nas wynagrodzenie minimalne.

Oczywiście przepis będzie dotyczył nie alimentarzy, ale wszelkich dłużników, także tych którzy naiwnie pobrali „korzystne” kredyty bankowe, które okazały się nie takie korzystne, jak ich informowano. Ale i tych, którzy padli ofiarą wszelkiej maści lichwiarzy, naciągaczy, oszustów. Już pomysł zdążyła pochwalić Krajowa Rada Komornicza. Właściwie wszyscy przyklasnęli tej kolejnej inicjatywie zmierzającej do coraz bardziej masowej produkcji wykluczonych w Polsce. Dłużników nikt nie będzie bronił, bo dłużnicy są generalnie be.

Jakoś Lewica nie zajęła się problemem już nie upada-

jącej, ale leżącej od dawna na morderze psychiatrii dziecięcej, coraz większym problemem okaleczeń i samobójstw wśród młodzieży. Nie zajęła się też wprowadzeniem do kodeksu rodzinnego pieczy naprzemiennej przy rozwodzie jako rozwiązania pierwszoplanowego. Trąbienie o aborcji, związkach partnerskich i budowie mieszkań komunalnych to tylko trąbienie i nic w tej materii Lewica nie zrobiła i nie zrobi.

Bo jak zapewne pamiętacie – albo i nie pamiętacie – Kucharska-Dziedzic jest posłanką Lewicy, a Dziemianowicz-Bąk jest desygnowaną przez Lewicę ministerką. Lewica miała być wrażliwa społecznie, ale najwyraźniej nie jest. Więc jest to celny strzał w kolano przed kolejnymi czekającymi ją wyborami.

Kucharska-Dziedzic co jakiś czas daje o sobie znać takim wyskokiem. Nie zastanawiam się już, czy ona w ogóle prowadzi jakieś procesy myślowe, bo znam odpowiedź na to pytanie. Nie prowadzi. Jest totalnie odklejona. Jest kompromatem formacji, którą reprezentuje. I ciągnie ją pod wodę. Nie mogę się doczekać ostatecznego buł, buł, buł.

IGOR JORG



Balcerowiczem dotknięta

Anita Kucharska-Dziedzic popisuje się wyjątkową bezczelnością jak na lewicową posłankę. W sprawie komorników i egzekucji nasze państwo ma, owszem, wiele do zrobienia, ale w kierunku wprost przeciwnym do tego, w którym zdaje się podążać Kucharska-Dziedzic.

Patologiczna sytuacja, w której komornik sądowy zarazem jest wolnym przedsiębiorcą nastawionym na zysk i jednocześnie reprezentantem – za przeproszeniem – majestatu Rzeczypospolitej, jest na dłuższą metę nie do pogodzenia.

Komornik ma być urzędnikiem państwowym powołanym do egzekucji wyroków sądowych i czuwającym nad prawidłowością przebiegu procesu egzekucji – prawidłowością nie tylko dla wierzyciela, ale i dłużnika. Komornik nie może być zaś – jak jest teraz – prywatnym biznesmenem zainteresowanym uzyskaniem jak największego zysku, bo wtedy

przestaje reprezentować majestat ojczyzny naszej, a zaczyna swój własny. Zamienia się w bezdusznego krwiopijcę gotowego złupić każdego do ostatniej koshuli, byle tylko wyrwać jak najwięcej kasy. Im wyżej więcej w imię odzyskania należności dla wierzyciela, tym więcej skapnie jemu. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że od lat działania wielu komorników nie mają zbyt wiele wspólnego z przestrzeganiem prawa. Tyle że w efekcie m.in. tego trudno jest o ojczyźnie naszej powiedzieć, że jest praworządna.

Załatwienie tej sprawy i przywrócenie właściwego stanu rzeczy jest tym, czym lewicowa posłanka powinna się zająć. Zgłaszając pomysły jeszcze większego łupienia ludzi, których i tak nie bardzo jest już z czego łupić, posłanka Kucharska-Dziedzic sytuuje się gdzieś w dolnych warstwach neoliberalnego betonu à la Balcerowicz, ale na pewno nie na lewicy.

EB

Ukrainizacja polskich szkół doprowadzi do wykluczenia ukraińskich dzieci.

„Język ukraiński był oferowany i będzie oferowany w polskiej szkole. Natomiast strona ukraińska zaoferowała nam, że dla swoich dzieci przygotuje tzw. komponent ukraiński, który będzie obejmował historię, geografii i literaturę i będą to realizowali we własnym zakresie. Wyda mi się to bardzo fair ofertą. Skorzystają na pewno obie strony” – powiedziała w wywiadzie dla Radia Zet wiceministrzyca edukacji narodowej Joanna Mucha (Polska 2050). Tymczasem oferta jest zdecydowanie nie fair – najbardziej dla uczniów z Ukrainy.

Szuchewycz zamiast Sienkiewicza

Dotychczas szkolnictwo powszechne miało służyć nabywaniu wiedzy i umiejętności, zaś wszelkie próby jego ideologizacji (choćby na przedmiocie HiT) były przez środowisko Joanny Muchy zawzięcie krytykowane. Dziś ta sama Mucha chce całkiem oficjalnie zastąpić potrzebną wiedzę przedmiotami nacechowanymi ideologią, a konkretnie ideologią ukraińskiego nacjonalizmu. Nie ludźmy się, że uda się upchnąć przedmioty polskie obok ukraińskich. Wprowadzenie ukraińskiej historii, geografii, literatury i języka oznacza radykalne ograniczenie lekcji języka polskiego oraz polskiej geografii i historii. Największymi ofiarami ukrainizacji programu szkolnego będą zaś sami Ukraińcy.

Zwróćmy uwagę, jakie trzy przedmioty MEN chce oddać Ukraińcom, aby „realizowali je we własnym zakresie”. Po pierwsze literatura. Dyskusja o kanonie lektur nieustannie elektryzuje społeczeństwo i tym samym dowodzi, jak ważną rolę odgrywa wspólny kanon kulturowy. Lekture zawarte w kanonie nie budują może tożsamości narodowej, lecz uzupełniają techniczną część języka (słownictwo, gramatyka) o pewien kontekst kulturowy. „Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy to jest zły uczynek. Dobry, to jak Kali zabrać komuś krowy” – jest zasadniczo zdaniem pozbawionym sensu. Dopiero znajomość dzieła Sienkiewicza, bądź przynajmniej jego omówienie, pozwala dziecku zrozumieć, czym

W pierwszej dziesiątce zawodów, które cieszą się społecznym poważaniem nie ma ani jednego zawodu prawniczego. I jakoś nas to nie dziwi.

O tym, że prawo w Polsce jest niefajne i rozciągliwe jak gil z nosa, wie każdy. Nie wyłączając tych, którzy prawo stanowią. Od trzech i pół dekady toczy się nieustanne poprawianie ustaw, kodeksów i paragrafów. Od lat wszyscy zastanawiają się, dlaczego w kraju, gdzie prawników jest jak alergenów, przepisy nie zmieniają się na lepsze. A odpowiedź jest prosta: gdyby prawo było jasne i przejrzyste, to ludzie w togach nie mieliby aż tyle kasy.

Z orłem na piersi

Koroną zawodów prawniczych jest sędziowanie. Sędziów sądów rejonowych jest ponad 6,5 tys., sędziów sądów okręgowych – prawie 3 tys., zaś sędziów sądów apelacyjnych mamy ok. 500. Łącznie, wyroki w imieniu Rzeczypospolitej wydaje mniej więcej 10 tys. osób z orłem na piersi.

Andrzej Duda mianował za swoich czasów prawie 3 tys. sędziów sądów powszechnych i asesorów. Roczny dopływ to zatem ponad 400 arbirtrów.

Zanim zostanie się sędzią, trzeba odębnić aplikację. Aplikuje się w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury z siedzibą w Krakowie. Dzięki temu aspirującym z Krakowa do bycia sędzią jest fajnie, a innym nie. Muszą co miesiąc wpaść pod Wawel na parodniowe zajęcia. Czyli stają się lżejsi o koszt biletu i noclegów. Choć te jak na Kraków przesadnie wysokie nie są – 160 zł za noc w pokoju w Domu Aplikanta. Aplikacja sędziowska trwa 54 miesiące, a łapie się na nią ostatnio ponad 250 osób rocznie.

Aplikant nie może nigdzie pracować z wyjątkiem zatrudnienia na uczelni

Szermierze praworządności

Rzeczpospolita nie tyle jest państwem prawnym, ile państwem prawników.

lub... w mediach. O ile wykonywanie tych robót nie przeszkadza mu w wykonywaniu obowiązków aplikanta. Za ich wykonywanie aplikant ma płacone. W trakcie pierwszych 12 miesięcy szkolenia dostaje miesięcznie 4 100 zł, przez resztę aplikacji 4 500 zł. Uwaga, są to kwoty brutto!

Ale jak prezydent mianuje go sędzią, to zarabiać będzie średnio brutto ponad 18 tys. zł. A do tego premie, dodatki i „trzynastki”.

W zawodzie przez jakiś czas nowy sędzia lekko mieć nie będzie. O jach z sędziami mianowanymi przez neo-KRS nie ma co wspominać. O tym, że jeden sędziowie nie uznają wyroków innych sędziów – też. Tak jak o tym, że sędziowie w ramach swoich obowiązków wypisują wezwania na rozprawy i wszystkie tego typu bzdurne kwity, od których ich kole-dzy i koleżanki zza granicy mają sekretarki i asystentki. Wszystko to zaś powoduje, że średni czas rozpatrzenia sprawy gospodarczej w postępowaniu procesowym w 2015 r. wynosił 4,5

miesiąca, a w 2022 r. już 6,1 miesiąca. Innych spraw też.

Żabot w kolorze czerwonym

Prokuratorów ci u nas jest ok. 6 tysięcy. Co roku egzamin prokuratorski zdaje i zostaje mianowanych na stanowiska asesorskie ponad 130 osób. Przed Ziobrą było tego znacznie mniej. W roku 2014 aplikację prokuratorską kończył rocznik liczący 46 aplikantów. Grupa kończąca aplikację w roku 2015 liczyła 50 osób, a kolejna 57 osób. Oczywiście aplikacje prokuratorskie prowadzone są w krakowskiej Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury. Dlatego w czasie aplikatury zarabia się tyle samo, ile w przypadku sędziów. Tyle że aplikacja prokuratorska trwa 30 miesięcy.

Potem zaś prokurator może liczyć na średnie miesięczne wynagrodzenie w wysokości 13 200 zł brutto. Trzeba jednak pamiętać, że co drugi prokurator otrzymuje pensję od 9 880 zł do 15 890 zł. 25 proc. najgorzej wynagradzanych prokuratorów zarabia poni-

żej 10 tys. zł brutto. Ale co czwarty ma co miesiąc więcej niż 16 tys. zł.

Z prokuraturą po Ziobrze jest dokładnie jak z sędziami. Jedni nie uznają drugich.

Ale co najciekawsze, nie słychać, żeby z tego powodu prokuratorom nie chciało się brać nowych spraw, więc prokuratury działają tak jak zwykle.

Zderegulowany obrońca

Liczba adwokatów wykonujących swój zawód wynosi w Polsce ponad 22 tys. W 2023 r. egzamin adwokacki zdało 1328 osób.

Tak jak inni prawnicy, adwokaci też muszą aplikować. W czasie aplikacji, jeżeli się trafi do dobrej kancelarii, to można wyjąć i 12 tys. zł miesięcznie. Pod warunkiem, że kancelaria jest zaprzyjaźniona z kancelarią rodziców aplikanta. Standardem jest wynagrodzenie na poziomie 110 proc. najniższej krajowej. Tyle że aby załapać się na aplikację, trzeba mieć zaprzyjaźnioną kancelarię, która delikwenta przyjmie. No

i zapłacić za każdy rok z trzech, przez które trzeba aplikować, „3,05-krotność minimalnego wynagrodzenia za pracę”. A na dodatek zdać egzamin wstępny w cenie prawie 1 200 zł. Po przejściu takiego zdzierstwa, nikt nie powinien być zdziwiony, że adwokaci nie mają żadnych skrupułów w łupieniu klientów.

Co pozwala im zarabiać jednak różnie. Od okolic średniej krajowej do setek tysięcy złotych miesięcznie.

Ostatnimi rewolucjami w adwokatstwie było w 2007 r. tzw. lex Gosiewski, czyli otwarcie zawodu poprzez wprowadzenie państwowego egzaminu i państwowego nadzoru nad aplikacjami. Do tego czasu to lokalne samorządy adwokackie ustalały reguły przyjmowania – a raczej nieprzyjmowania – do fachu. Druga zmiana też wiąże się z nazwiskiem – tym razem chodzi o Gowina i jego deregulację zawodów. W myśl tego prawa adwokatem zostaje się, gdy przez trzy lata było się komornikiem; zdało się egzamin sędziowski lub prokuratorski i pięć lat przed złożeniem wniosku o wpis na listę adwokatów pracowało się w fachu; ma się tytuł naukowy doktora nauk prawnych, ale zamiast kosić kasę, było się urzędnikiem lub ministrem. Skutkami tych rewolucji miał być spadek cen za papugę. Miał...

Stempel rejenta

Notariuszami jest u nas ok. 4 tys. osób. Trzy czwarte z nich odbyło aplikację notarialną, natomiast więcej niż co piąty trafił do zawodu bez odbycia aplikacji, przechodząc z innego fachu prawniczego.

Zanim się zacznie zarabiać na przybijaniu pieczętki notarialnej, trzeba zapłacić 3 tys. zł za egzamin, zdać go i wysupłać prawie sześć kafli na roczną opłatę aplikancką. A potem 2,5 roku czeladnictwa – i kolejnych opłat rocz-

Getto pani Muchy

jest „moralność Kalego”. Dla ukraińskich dzieci nauczanie się w szkole głębi polszczyzny jest jeszcze ważniejsze niż dla ich polskich rówieśników, bo wiem dzieci mające polskich rodziców od urodzenia obcą z polskim kontekstem kulturowym. Dzieci ukraińskie muszą się go dopiero nauczyć, a wiceministrzyca Mucha im możliwość nauki odbiera.

Jak Bandera wyzwalał Wołyn

Drugim zukrainizowanym przedmiotem będzie historia. Bez dat i faktów z życia piętnastowiecznej Polski ukraińskie dzieci mogą się obyć, ale znów – najważniejszy jest kontekst. Nauka historii pozwala zrozumieć, skąd w Polsce notoryczne (często kretyńskie) odwołania do tzw. kultury sarmackiej, dlaczego Polacy są narodem przesiąkniętym (irracjonalną) rusofobią i że ma ona inne podłoże niż rusofobia ukraińska. A także, dlaczego duża część Polaków darzy ślepą miłością Anglosasów, a nieufnością Niemców. W końcu to na historii poruszany jest niezwykle ważny w tym kontekście temat ludobójstwa na Wołyniu. W żadnym wypadku nie powinien on być cenzurowany, bowiem

ukraińskie dzieci żyjące w Polsce muszą wiedzieć, że Bandera nie był, nie jest i nie będzie nad Wisłą bohaterem, a także to, że gloryfikacja wołyńskich ludobójców przez rząd w Kijowie jest jednym z powodów konfliktów polsko-ukraińskich.

UWAŻAJ, GÓWNIARZU,
BO JUŻ MAM
TRZECH UKRAJŃCÓW
NA TWOJE MIEJSCE!



Jednak zarówno polskiej kultury jak i polskiej historii ukraińskie dzieci nie poznają. Zamiast tego będą karmione poezją i prozą przesiąkniętą ukraińskim nacjonalizmem (bowiem do 1991 r. tylko ukraińscy nacjonaści pisali po ukraińsku) oraz ukraińską historią. Robiąc dobrą minę do złej gry, można by mieć nadzieję, że program „komponentu historycznego” będzie w zniuansowany sposób szczegółowo opisywał wzloty i upadki polsko-ukraińskiej historii. Stawiam jednak dolary przeciw orzechom, że

tak się nie stanie, a „komponent historyczny” opracuje ukraiński IPN, zatem będzie to banderowski nacjonalizm na sterydach, nierzadko z domieszką faszyzmu (zgodnie z wykładnią ukraińskiego IPN, lepiej było w szeregach UPA kolaborować z hitlerowcami niż w Armii Czerwonej z nimi walczyć). Mucha zadeklarowała, że nowe przedmioty Ukraińcy „będą realizowali we własnym zakresie”, zatem do szerezenia banderyzmu polski rząd nie będzie się wtrącał.

Gdzie Rzym, a gdzie Krym

Uczenie w polskiej szkole ukraińskiej literatury i historii jest groźne, ale można to od biedy uzasadnić ochroną ukraińskiej tożsamości narodowej. Jednak nauka ukraińskiej geografii to po prostu szczyt głupoty. Najwyraźniej politrucy w ministerstwie edukacji uwierzyli w opowieści ukraińskich propagandyistów, że już za chwileczkę, już za momentik Ukraina pokona Rosję i odbije Donbas oraz Krym, a pięć minut później Ukraińcy z całego świata wrócą nad Dniepr odbudowywać swoją ojczyznę. Fakty są jednak inne – większość żyjących w Polsce Ukraińców do ojczyzny nie wróci (pisałem o tym szerzej w „NIE”, nr 43/2023), zaś Krymu najpewniej nigdy nie zobaczy. Dzięki „komponentowi geograficznemu” mały Wołodymyr bądź Dmytro nie będzie wiedział, w jakim województwie mieszka, ale w zamian pozna wszystkie miasta Krymu oraz bajeczkę, iż półwysep jest rdzennie ukraiński.

Szkoła drugiej kategorii

Oczywiście „komponent ukraiński” nie będzie wykładany we wszystkich szkołach – nie

ma tylu ukraińskich dzieci, ani nauczycieli gotowych nauczać czegoś takiego. Doprowadzi to do rozdzielenia dzieci polskich i ukraińskich mieszkających na jednym osiedlu, które w normalnej sytuacji by się integrowały. Zgodnie z koncepcją ministerstwa, dzieci polskie będą chodziły do najbliższej rejonówki, zaś ukraińskie – do najpewniej jedynej w dzielnicy bądź powiecie szkoły z „komponentem ukraińskim”. Ponadto wiceministrzyca Mucha zapowiedziała, że w szkołach nauczany będzie język ukraiński. Nasuwa się pytanie: w miejsce których lekcji wejdą zajęcia z ukraińskiego? Zapewne w miejsce lekcji polskiego. Zatem dzieci ukraińskie będą odizolowane od polskich, uczone agresywnej banderowskiej historii, nacjonalistycznej literatury i geografii innego kraju, a z Polakami będą się porozumiewali na migi, gdyż polszczyzny nie opanują. Podejrzewam ponadto, że odpowiednio wyselekcjonowani nauczyciele uczący owe ukraińskie klasy przepelnieni będą współczuciem dla biednych „dzieci wojny” i nieprzesadnie wymagający. Poziom nauczania w tych klasach będzie dramatycznie niski, a za parę lat groźba przeniesienia do „ukraińskiej klasy” może być równoznaczna z odesłaniem do osłej ławki.

Ukraińskie ghetto

Za lat kilkanaście będziemy mieli w Polsce dziesiątki albo setki tysięcy absolwentów zukrainizowanych szkół – niemówiących sprawnie po polsku i nieodnajdujących się w polskiej rzeczywistości. W efekcie trwale bezrobotnych, żyjących z pomocy społecznej, w złych warunkach materialnych i odizolowanych od większości społeczeństwa. Przerabiano to już w państwach zachodnich – Francji, Szwecji, RFN – i fachowo określono mianem ghettoizacji. Konsekwencją jest wzrost przestępczości, narkomanii i innych patologii, a także problemy społeczno-gospodarcze oraz, rzecz jasna, radykalne zwiększenie poziomu ksenofobii. Zarówno wśród rodowitych mieszkańców wściekłych na imigrantów za to, iż ci żyją na ich koszt, jak i wśród imigrantów, którzy za swą niedolę obwiniają ludność miejscową. Niech nas nie łudzi, że dotychczas największe problemy Europa miała z imigrantami radykalnie islamistycznymi; Ukraińcy też łatwo mogą ulec radykalizacji, choćby skrajnej banderyzacji. Będzie to dla Polski jeszcze groźniejsze niż radykalny islam. Co więcej, państwa Europy Zachodniej na różne sposoby próbowały z ghettoizacją walczyć – inna sprawa, że nieudolnie. Tymczasem Polska rękami wiceministrzycy Muchy siłą wypycha ukraińskie dzieci do gett. Konsekwencje mogą być zatem jeszcze gorsze niż na Zachodzie. Dla obu stron.

MAREK SANOWSKI

nych – i już z górki. Kasa zarabiana na aplikacji zależy od urodzenia bądź farta. Może to być i połowa najniższej krajowej, ale bywa i 5 tys. zł. O zjawisku tym najwięcej mówi taki dowcip „Kto zarabia mniej niż sprzątaczką, a chodzi ubrany jak minister? Aplikant notarialny”. Ale chyba się opłaca, bo zarobki notariusza wahają się od 10 do kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie – na rękę.

W ostatnich ośmiu latach Ziobro do notariuszy nic nie miał, więc żadna reforma ich nie dotknęła. Dlatego po trzech latach pracy jako asystent sędziego, prokuratora albo referendarza czy nawet jako oficjalny produkujący jakiegokolwiek akty prawne, wciąż można bez konieczności aplikowania stanąć do egzaminu notarialnego. No i, rzecz jasna, gdy się ma papiery komornika, to też można.

A co ciekawe, każdy notariusz ma obowiązek objęcia patronatem przynajmniej jednego aplikanta w okresie kolejnych trzech i pół roku.

Jednak bardziej niż deregulację środowisko rejenckie pamięta posunięcie Ziobry z 2007 r., gdy wydał rozporządzenie zmniejszające opłaty notarialne średnio o 25 procent. Początkowo cena za pieczęć rejenta nawet spadła. Nie po to jednak notariusze studiowali za wiłości prawa, by nie znaleźć furtki i odbić to sobie z czasem.

Windykator ustawowy

W Polsce działa ok. 2200 komorników sądowych wspieranych przez niemal 1300 asesorów komorniczych oraz ponad 300 aplikantów komorniczych.

W czasie aplikacji pretendenci do odbierania ludziom sprzętów i kasy zarabiają od 2 do góra 4 tys. zł brutto. Koszty uzyskania uprawnień komornika to 5850 zł rocznie za dwuletnią aplikację plus egzamin za niecałe 3400 zł.

Dopiero potem jest miło. Zarobki przekraczające 300 tys. zł rocznie osiąga co drugi komornik, ale co piąty pracuje ponoć poniżej lub na granicy opłacalności. Ponoć...

Kiedyś nawet państwo usiłowało się wziąć za komorników. Poprzez obniżenie opłat komorniczych. Dlatego od 2010 r. zamiast 15 proc. haraczu od wyciśniętego z dłużnika majątku, komornikowi wolno brać tylko 8 proc. Jak widać po zarobkach, ówczesny płacz i zgrzytanie zębów środowiska, był nieco przesadzony. Uwolnienie zawodu sprowadzające się do trzech lat pracy w zawodzie zbliżonym do prawa, które zwalniają z obowiązku odbycia aplikacji – czyli ustawa deregulacyjna – też snu z powiek komornikom nie spędzały. Zwłaszcza, że dzięki ustawie kandydat na komornika nie musiał już obowiązkowo przedstawiać badań o stanie swojego zdrowia psychicznego.

Prawie adwokat

Spółród fachów prawniczych najliczniejsi są radcowie prawni. Są ich 32 tys. I dobywają następni, choć wolniej niż kiedyś. W zeszłym roku do egzaminu radcowskiego przystąpiło 2034 zdających, pozytywny wynik z tego egzaminu uzyskały 1662 osoby. Dekadę temu rocznie wskakiwało na bycie radcą nawet 3,5 tys. prawników. Zarobki w czasie aplikacji radcowskiej są najczęściej śmieszne. W okolicach najniższej krajowej. Ale bywa i ponad 6 tys. zł. Opłata roczna za aplikację to 5850 zł. Aplikacja trwa trzy lata. Egzamin wstępny – ponad 1100 zł.

Zarobki radców też są rozstrzelone. Od średniej krajowej, gdy radca jest zatrudniony gdzieś na etacie, do kilkudziesięciu tysięcy złotych w przypadku dobrze prosperujących kancelarii.

Prosperujących, bo od dekady bycie radcą to jest coś. Któraś tam nowelizacja umożliwiła im bycie adwokatem, czyli występowanie przed sądem w imieniu klienta. Dzięki temu gros spraw frankowych za ciężkie pieniądze i udział w wygranej kasie prowadzi dziś przed sądami kancelarie nie adwokackie, ale właśnie radcowskie.

Wyższe wykształcenie ogólne

Absolwent prawa niekoniecznie jest prawnikiem. Ba, 35 proc. magistrów prawa nigdy nie będzie pracowało w żadnym zawodzie prawniczym.

Absolwentów tego kierunku przybywa rocznie ok. 10 tys. Sędzią, prokuratorem, adwokatem, rejentem, komornikiem ani radcą nie zostają prawie 4 tys. z nich.

Magister prawa bez układów i kasy stara się więc załapać w jakiegokolwiek kancelarii. Kancelarie biorą ich na praktyki – które mają się zakończyć aplikacją i wielką karierą – z otwartymi ramionami. Praktyki najczęściej trwają trzy miesiące. Zasuwa się na nich po kilkanaście godzin dziennie, pisać odwołania, apelacje i setki innych kwitów prawniczych. Za tę działalność najczęściej spotykanym wynagrodzeniem jest 3–3,5 tys. zł płacone pod stołem lub na umowę zlecenie. Praktyka kończy się niczym, bo w przedpokoju czeka kolejny amator kariery prawniczej. Korzyścią, którą wykorzystany kandydat na prawnika wynosi z praktyki, jest konsta-

tacja, że prawo służy do robienia w konia takich jak on.

Z tytułem magistra prawa można się oczywiście załapać na urzędasa lub fuchę korposzczura. Ponieważ jednak prawnik uchodzi za kogoś z wyższym wykształceniem ogólnym, to szczególnych kokosów nie ma. Jego dochody oscylują wokół stawek niższego personelu korporacyjnego.

Wbrew pozorom, pisowskie uwolnienie zawodów prawniczych sprzed niemal 20 lat, magistrów prawa coś jednak dało. Tym czymś jest szansa. Przed uwolnieniem ledwie co trzeci absolwent miał widoki na wejście do

klanu prawników. Teraz łapie się na to już dwa razy więcej.

Reformy zawodów prawniczych nie spowodowały spadku cen usług prawniczych, ani poprawy orzecznictwa sądowego, nie wspominając już o tym, że w żaden sposób nie wyeliminowały debilizmu z prokuratury i sędziów przypisywanych komornikom. Tyśiące prawników nie powstrzymało też przerebiania polskiego prawa w narzędzie autorytarnej władzy. Może dlatego, że

90 proc. z nich zajmowało się tym, co naprawdę zostali prawnikami – zarabianiem jeszcze większej kasy.

Większość tych niepokornych kasę już miała, immunitety też, ale brakowało im nimbu męczenników, dzięki któremu mogliby w kolejnym rozdaniu zostać – jak choćby mecenas Michał Wawrykiewicz z Wolnych Sądów – eurodeputowanym. Czy kimś innym, byle sprawującym władzę.

TADEUSZ JASIŃSKI



Pod koniec kwietnia za sprawą programu „Uwaga” stacji TVN przez media prześliznęła się informacja o fali fentanylowych zgonów w mazowieckim Żurominie. Obejrzałam materiał bardziej rozbawiona niż powinnam, a to z dwóch powodów: przypomniały mi się lata szczenięce i doszłam do wniosku, że rząd z Ministerstwem Zdrowia na czele nie zauważyłby masowego uzależnienia od opioidów czy jakiegokolwiek innej substancji psychoaktywnej, nawet gdyby te usiadły im na twarzy.

Fascination

Jak dowiedziałam się z „Uwagi”, Żuromin to dziewięciotysięczne miasto położone w północno-zachodniej części województwa mazowieckiego. Losem młodych żuromińskich pokoleń kieruje tzw. brak perspektyw, zatem trajektorię życia w tym azylu dla psów szczekających dupami można zaprojektować sobie w dwójnasób: poprzez wyjazd lub przedwczesny zgon spowodowany narkotykami. Tak przynajmniej wynikało z narracji jednego z głównych bohaterów programu Adama Ejnika, nauczyciela i lokalnego dziennikarza, który policzył, że w ciągu ostatnich 15 lat plaga narkomanii i lekomanii „pochłonięła” dziesiątki, jeśli nie setki, istnień” osób bardzo młodych w wieku 20–30 lat. Patrząc z tej niewesołej perspektywy na skalę zjawiska w pipidowie o zagęszczeniu ludzkim mniejszym niż kolonia pcheł na mysiej pipie, można by złośliwie powiedzieć, że w celu zminimalizowania strat – żeby nieszczęście się nie rozlało na boki – najlepiej by było zlikwidować Żuromin. Jak się jednak okazuje, nie czas i miejsce tu na złośliwości, bo tylko od początku tego roku życie straciło pięć kolejnych młodych osób, a zdaniem mieszkańców problemem jest łatwo dostępny fentanyl. Tak właśnie – policja bowiem, jak przekonują mieszkańcy, dokonuje estetyzacji powierzchownie ujętych tematów.

Freedom

„Za każdym razem prowadzone jest śledztwo pod nadzorem prokuratury. Jednakże z posiadanej mi wiedzy, żadnej osobie nie został postawiony zarzut przyczynienia się do śmierci tych osób” – wyjaśnił reporterowi „Uwagi” zapytany o nadmiarowe zgony w wyjątkowo zbitej okolicy okolicznościach asp. Tomasz Łopiński z Komendy Powiatowej Policji w (a jakże) Żurominie.

To zabawne, bo jak wyjaśniały (a nawet pokazywały palcami) reporterowi matka, żona oraz sąsiadki jednej z ofiar rekreacyjnej konsumpcji, lokalny apostoł narkocyznu jest doskonale wszystkim znany z imienia i nazwiska, ba, nawet z adresu. Klienci mają umawiać się z nim telefonicznie w klatce schodowej jego bloku, piśczętoliwie nazywanej przez lokalsów „apteka”.

„Całkiem niedawno doszło do czynności z udziałem tej osoby, doszło do przeszkubania miejsca zamieszkania. Jednak czynności podjęte przez pion kryminalny nie doprowadziły do uzyskania dowodów na to, by ta osoba posiadała zakazane środki” – rozwił wątpliwości upierdliwego reportera asp. Łopiński. I chuj, klepnięte. W Żurominie albo jest się częścią problemu, albo rozwiązaniem. Policja wybrała drugą opcję. Zrobiła co mogła, a że mogła niewiele, to wyszło jak wyszło. Zdarza się najlepszym.

Fear

„Kilka razy widziałam syna, jak tam wchodził i wychodził. Wypierał się, twierdził, że nic nie bierze. Ze to dla kolegi” – mówiła matka entuzjasty fentanylu zawiniętego z podłogi „apteki” do wora. „To jest w każdej małej miejscowości. Mieliliśmy

American dream po polsku

Wraca stare w nowej odsłonie.

taką sytuację w Żurominie, że dilerzy pojawiali się na wiejskich zabawach. Tam gdzie jest spotkanie, masówka, to zawsze ktoś coś ma. Od leków, skończywszy na kryształach” – powiedział Piotr Wlizio, terapeuta i działacz społeczny.

„List otwarty do polskiego rządu, prezydenta, oraz wszelkich władz. W niewielkim Żurominie na peryferiach województwa mazowieckiego umierają młodzi ludzie. Każdego dnia zastanawiamy się, kiedy pojawi się nowa ofiara. Jesteśmy pewni, że to kwestia dni, godzin. Dlatego potrzebujemy pomocy ludzi z zewnątrz, którzy potrafią rozprawić się z mordercami naszych braci, kolegów, dzieci” – zaintonował Adam Ejnik. O, święta naiwności!

Fun

Zakręciła mi się w oku łza wzruszenia. Podobne widoki i hasła były uzupełnieniem krajobrazu mojego miasta w połowie lat 90. Bliskość granicy z Niemcami, prosty jak obietnica dobrobytu szlak przemysłowy do Europy Zachodniej, siły policyjne niedoświadczone w walce z produkcją i handlem prochami albo skorumpowane po podgarśle w ciasnym kołnierzyku. Klatki schodowe wieżowców obsiane nagrzanymi narkusami jak wybryczkami w chorobie. Można rzec, że wraca stare, ale w nowej odsłonie.

Pomijając zapewne przeuroczy, lecz wciąż zaściankowy Żuromin, który lekkim lufterem zwisa wszystkim tym, którzy akurat w nim nie mieszkają, proceder uzdatniania polskich organizmów przemysłowymi dawkami leków narkotycznych i psychotropowych nie tylko trwa od dawna, ale nabiera rozpędu. Paradoksem całej sytuacji jest fakt, że choć w terapii leczenia bólu Polska wciąż używa

zbyt małej ilości leków opioidowych, bo – o, ironio! – część pacjentów i lekarzy obawia się efektu uzależnienia (co w przypadku np. rozlanego nowotworu wydaje się być kuriozalne), to liczba recept na leki tego typu sukcesywnie rośnie. I tak wykorzystywanie silnych leków opioidowych, szczególnie skutecznych w leczeniu bólu ostrego (pooperacyjnego, pourazowego) czy bólu przewlekłego u chorych na nowotwory w Polsce jest pięciokrotnie rzadsze niż

w Europie. W ciągu trzech lat liczba recept nie objętych refundacją wypisanych na tego typu leki wzrosła o 30 proc., zatem czarny rynek ma się doskonale.

Jak wskazują specjaliści, fentanyl rzadko bywa wydawany do samodzielnego podania, dlatego mimo wysokiego potencjału uzależniającego niekoniecznie jest najjaśniejszą gwiazdą na narkotycznym firmamencie. Rodacy najczęściej upierdalają się tramadolem ekstrahowanym z leku, w którym połączony jest z paracetamolem. Popularne są również morfina (w różnych postaciach) i oksykodon lub zawarta w lekach bez recepty kodeina. Prawdziwą furorę w kraju nad Wisłą robią benzodiazepiny, czyli szeroka grupa leków o działaniu przeciwlękowym, nasennym i uspokajającym. Valium, Triazolam, Xanax, Clonazepam – to tylko kilka pierwszych z brzegu popularnych pozycji w karcie dań uzależnień. Jak to możliwe? Aby wypisać receptę elektroniczną, lekarz musi mieć ważny certyfikat ZUS. Hakerzy często włamują się na konta medyków i kradną dane. Jeśli do tego dojdzie i ktoś umiejętnie będzie tłukł recepty (czyli w limicie, tak żeby Ministerstwo Zdrowia nie zobaczyło czerwonej lampki), codziennie wystawi 70 recept nie tylko na leki benzo, ale wspomniany fentanyl, nierefundowane na 100 proc. Później wedle potrzeb – receptę można zrealizować na słupie albo skradzione dane pacjenta, a towar przehandlować w kraju albo za granicą. Dowcip w tym, że sam okradziony z certyfikatu lekarz się o tym nie dowie. Dlaczego? Ano dlatego, że widzi wystawione przez siebie recepty tylko w tych placówkach, w których pracuje. Dane widzi ministerstwo, a jeśli nie „świecą się na czerwono”, to tak naprawdę chują z niego. Zeby było śmieszniej, prędzej o procedurze może się dowiedzieć skarbówka, jeśli przypadkiem zdarzy się, że lekarz będzie na zwolnieniu lekarskim, a w tym czasie ktoś wystawi za pomocą jego certyfikatu receptę.

Na dokładkę z raportu Urzędu Unii Europejskiej ds. Własności Intelektualnej (EUIPO) oraz Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) i Interpolu wynika, że rynek fałszywych leków oferowanych przez internet szacowany jest obecnie na 200 mld dolarów, z czego sami Polacy na podrobione prochy wydają blisko 100 mln zł.

Oczekiwanie, że rząd, który po pięciu latach od wprowadzenia e-recepty nie ogarnął dziur we własnym systemie, skutecznie zainterweniuje w kwestii tak istotnej jak handel podrobionymi lekami czy tak małostkowej jak kilkanaście przećpanych trupów w mazowieckiej pipidowie, można uznać za sztamę infantylnych rojeń.

IDALIA DUBICKA



WIEŚCI Z KRUCHTY

Do Nuncjatury Apostolskiej w Polsce wpłynęło zawiadomienie o sprawie dwóch kobiet, które w młodości miały paść ofiarami seksualnego wykorzystania przez jednego z księży. Pikanterii sprawie dodaje fakt, iż pismo dotyczy „nieodpowiednich działań” metropolity gdańskiego arcybiskupa Tadeusza Wojdy. Oskarżany duchowny miał seksualnie wykorzystywać kobiety, gdy jedna z nich miała 13, a druga 18 lat. Autorka skargi zwróciła uwagę na równie liczne co rażące błędy w trakcie procedowania sprawy. Pokrzywdzone podczas przesłuchania przed trybunałem kościelnym musiały opowiadać o intymnych szczegółach zdarzenia, dodatkowo protokolół sporządzony na podstawie ich zeznań miał zawierać braki i nieścisłości. W lutym 2023 r. miało dojść do spotkania jednej z pokrzywdzonych kobiet z metropolitą gdańskim. Arcybiskup Wojda stwierdził wówczas, że według niego nie doszło do wykorzystania seksualnego, ponieważ „to było tylko macanie”. Jak podają media, sprawa księdza podejrzanego o pedofilię została umorzona z powodu przedawnienia. Nie ma jednak informacji na temat wyniku postępowania kanonicznego wobec duchownego.

• Pilne: Diecezjalna Komisja Muzyki Kościelnej w kurii warszawsko-praskiej w trosce o dobro kościelnej liturgii przypomina, że muzyka w kościo-

łach powinna być odgrywana wyłącznie na żywo, a nie odtwarzana z nagrania. Komunikat w tej sprawie wydano z uwagi na „niepokojące praktyki korzystania z gotowych utworów audio, zastępując grę organów, śpiew organisty i wiernych”. Komisja zauważa również, że w dokumencie „Instrukcji Komisji Episkopatu Polski o muzyce kościelnej” opublikowanym w 2017 r., w punkcie 40. wskazuje się, że „niedopuszczalne jest stosowanie tzw. automatycznych organistów”. Z niecierpliwością czekamy, kiedy w świąty-



niach będą grali DJ-e, a w miejscu kościelnych ław pojawią się bary. Na taką mszę się wybierzemy.

• Pojawiły się nowe wieści w sprawie eks-salezjania ks. Michała Woźnickiego. Znany z łżenia kobiet, osób LGBT, policjantów, personelu medycznego, wiernych innych wyznań, papieża czy gwiazd estrady, Woźnicki stał się stałym beneficjentem paragrafów Kodeksu karnego. W ostatnim czasie prokuratura skierowała do sądu świeże trzy akty oskarżenia przeciwko eks-ksieździe. Dwie sprawy dotyczą kolejnych antysemitkich wypowiedzi, które Woźnicki wygłaszał publicznie w internetowych transmisjach. Ponieważ w przeszłości suspendowany duchowny został już ukarany przez wymiar sprawiedliwości za kazania, w których porównywał Żydów do pijawek i kleszczy, u sędzi prowadzącej jedną z rozpraw zrodziły się wątpliwości co do poczytalności byłego księdza. Skierowała więc Woźnickiego na badania psychiatryczne. Biegli orzekli, że „oskarżony jest w pełni poczytalny”. Tym samym uznano, że Woźnicki „może sam bronić się w sposób racjonalny” i odebrano mu obrońcę z urzędu. Zarówno psychiatrom, jak i sędzi serdecznie współczujemy.

• Gnijący Chrystus odwiedzi Pol'and'Rock Festival. Gwoli ścisłości chodzi o grecki zespół blackmetalowy „Rotting Christ”. O koncercie kapeli poinformował Jerzy Owsiak, a sprawę postanowił skomentować w mediach społecznościowych ksiądz Janusz Chyla proboszcz parafii Matki Bożej Królowej Polski w Chojnicach: „Współudział w promocji satanizmu mają ci, którzy popierają Jerzego Owsiaka i jego akcje” – napisał. Patrząc na cotygodniowe zestawienie kryminalno-kościelnych wątków w rubryce

„Wieści z kruchty”, wolimy nie myśleć, w czym mają współudział wierni Kościoła katolickiego.

• Z okazji 33. rocznicy powołania Straży Granicznej, w Częstochowie odbył się uroczysty Apel Jasnogórski. Podczas nabożeństwa biskup połowy Wojska Polskiego Wiesław Lechowicz powierzył opiece Matki Boskiej funkcjonariuszy i pracowników SG. „Historia ludzkości pokazuje, że o wiele większe niebezpieczeństwo płynie z wnętrza organizmu społecznego niż z zewnątrz. Fundamentem porządku, pokoju i bezpieczeństwa państwa i narodu jest ład moralny!” – podkreślał Lechowicz. Wnioskując ze słów biskupa połowego, Straż Graniczna, zamiast cudzoziemców, powinna zacząć wypierdalać za płot na granicy niepokornych Polaków.

• Jak donoszą zagraniczne media, latem przyszłego roku rozpoczną się zdjęcia do horroru „Syn cieśli”. Film ma opowiadać o dzieciństwie Chrystusa, a inspiracją do jego powstania był apokryf Nowego Testamentu „Ewangelia Dzieciństwa Tomasza”. Z oficjalnego streszczenia wynika, że produkcja skupi się na zdarzeniach, kiedy to Jezus pod wpływem innego dziecka doświadczył tajemniczej przemiany, a potem zacznie się buntować przeciwko swojemu ojcu, cieśli. Dzieło wyreżyseruje Lofty Nathan, a Nicolas Cage i piosenkarka FKA Twigs wcielią się w rolę Józefa i Marii. Bez względu na to, jakim filmem okaże się „Syn cieśli”, śmiemy przypuszczać, że dzięki katolickim konserwom lepsze sceny będzie można oglądać na żywo i w kolorze przed seansami.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

TOMEK

Najpierw Wiater był góralem, bo urodził się w 1969 r. w Makowie Podhalańskim. I ta góralskość w zdecydowanym, a nawet upartym charakterze w nim była. Ale potem zaczął powoli stawać się artystą. Może nie tyle stawać się, bo ten artysta w nim przecież był. Zaczął się coraz bardziej ociosywać i wydobywać na powierzchnię. Najpierw w kultowym na całą Polskę Liceum Plastycznym im. Antoniego Kenara w Zakopanem. Ponieważ Kenar był rzeźbiarzem, to i Wiater się rzeźbie pierwotnie poświęcił. Studiował na Wydziale Rzeźby warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, a także w Ecole Nationale Supérieure des Beaux-Arts w Paryżu. Jednak nie tyle rzeźbie się poświęcił, co rysunkowi i karykaturze. Bo był Wiater niebywałym prześmiewcą.

Od 1992 r. związał się z nami, redakcją tygodnika „NIE”. A rysunki, które zostawił, można liczyć w tysiące. Jako ateista i zawzięty antyklerykał świetnie się tu znalazł. Był graficzną twarzą pisma przez długie lata.

Mało kto wie, że był także wielkim miłośnikiem zwierząt. Angażował się w ratowanie jeży. Nie tylko założył Stowarzyszenie Opiekunów Jeży, ale swój dom uczynił dla wielu jeży przytuliskiem.

Gdy 17 maja 2021 r. dowiedzieliśmy się, że Wiater zmarł na COVID, nie mogliśmy uwierzyć.

REDAKCJA



Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Reprezentacja Irlandii na Eurowizji. Najpierw było **masowe odstępstwo od wiary, potem narodowa apostazja potwierdzona w dwóch referendach (ws. LGBT i aborcji)**, teraz takie dzwiny. Po pierwsze jesteśmy w UE dwadzieścia lat i chyba, **wbrew nadziejom polskich biskupów z początku XXI wieku, nie schryścianizowaliśmy jej**. Po drugie – **irlandzcy sataniści wystąpią w finale**. Po trzecie – panna przebrana za diabła (z kolegami z rogami wszczepionymi we łby, wszyscy tańczący na pentagramie) oczekując na wyniki głosowania wymachuje tęczową flagą. Jak sądzicie, dlaczego?

Krystian Kratiuk, redaktor naczelny Polonia Christiana, X, 7 maja

■ Zapowiedziano włączenie Polski do Europejskiego Obszaru Edukacyjnego od 2025 roku. (...) Należy pamiętać, że matrycą, w której powstają i działają wszelkie przedsięwzięcia unijne jest realizacja założeń teoretycznych UE. (...) **Zmierzają one wprost do budowy republiki świata bez narodów, państw, rządów, religii chrześcijańskiej, moralności, małżeństw, rodzin, własności prywatnej**. (...) **Obecne zniszczenie i chaos w szkołach, seksualizacja, genderyzacja, upadek moralny i intelektualny są ściśle powiązane z członkostwem Polski w UE**. Widać coraz lepiej, jaki jest dla nas unijny bilans. Należy zrobić wszystko, aby z tego wyjść. Unii nie da się zreformować, ani naprawić.

Bartosz Kopczyński, Towarzystwo Wiedzy Społecznej w Toruniu, PCH24.pl, 7 maja

■ Maryjo, dziś w ten majowy wieczór wołamy do Ciebie – otocz płaszczem Swej opieki wszystkich polskich rolników zatroskanych o los swoich gospodarstw! (...) Oni uciekają się dzisiaj pod Twoją

obronę, świętą Bożą Rodzicielko. Bo oni wiedzą, że **Europa bardziej od „zielonego ładu” potrzebuje Bożego Ładu! Bo kultura Unii Europejskiej, ukrywająca się za zasadą wolności religijnej jest ateistyczna i antychrześcijańska**. A szumnie głoszona neutralność Światopoglądowa została zastąpiona **obsesją na punkcie radykalnie lewicowej ideologii, wedle której często mówi się o „nowym porządku” czy „nowym światowym ładzie”**. (...) Europie nie potrzeba żadnego zielonego ładu, ale potrzeba powrotu Bożego Ładu.

hp Antoni Długosz, Apel Jasnogórski, 9 maja

■ Jedną z przyczyn sprawowania władzy przez ideowych spadkobierców PRL-u i postmarksisistów spod tęczowej flagi jest **społeczna amnezja**.

ks. Janusz Chyla, X, 9 maja

■ **Diecezja sosnowiecka nie jest do zaorania, tylko do nieustannego obsiewania**. (...) **Istnieją dwie diecezje sosnowieckie. Jedną z nich jest w rzeczywistości, a druga – w mediach, które eksponują tylko to, co chcą, w dawce w jakiej chcą i z komentarzem z jakim chcą**.

abp Adrian Galbas, ekai.pl, 9 maja

■ W związku z narastającą w przestrzeni publicznej i działaniach rządu presją dotyczącą zmiany prawnej ochrony życia ludzkiego w kierunku legalizacji **zabijania dzieci w łonie matek**, pragniemy przypomnieć **jednoznaczne i niezmiennie stanowisko Kościoła** w tej kwestii (...) Być może, samo to zjawisko jest już objawem niepokoju nurtującego sumienia. Jednak żadne słowo nie jest w stanie zmienić rzeczywistości: **przerwanie ciąży jest – niezależnie od tego, w jaki sposób zostaje dokonane – świadomym i bepośrednim zabójstwem istoty ludzkiej** w początkowym stadium jej życia, obejmującym okres między poczęciem a narodzeniem.

Konferencja Episkopatu Polski, X, 9 maja

KLECHA

Zawsze na wierzchu

Czy Tomasz Terlikowski jest dowodem augustiańskiej iluminacji, czy marksowskiego bytu i świadomości?

Kiedy w 2020 r. koronawirus wysyłał masowo owieczki do domu Ojca, Tomasz Terlikowski grzmiał na zamykających kościoły księży: „Kościoł, który w momencie zagrożenia śmiercią (wątpliwego w przypadku tego wirusa) odwołuje Msze Święte, czyli źródło jedynego prawdziwego życia, w istocie pokazuje swoją niewiarę w Eucharystię, Mszę Świętą i życie wieczne”. Żeby tylko! Dodał też, że epidemia to pikuś, bo „z perspektywy wiary nie ma ważniejszej rzeczy na ziemi niż sprawowanie Mszy Świętej, a dla ludzkiego życia wiecznego – nic ważniejszego niż przyjmowanie Komunii Świętej”.

Dziś Terlikowski jest bohaterem niepisowskich mediów. Postponuje księży, biskupów, a nawet godzi w najwyższy organ polskiego Kościoła, pisząc choćby, że „Polski Episkopat odważnie i zdecydowanie kontynuuje kurs na zderzenie z górą lodową. Wybór nowego przewodniczącego i wiceprzewodniczącego tylko to potwierdzają”. Ba, w Newsweeku ogłasza: „Dla obrońców Kościoła jestem dyżurnym Judaszem” i wydaje książkę o tytule „Wygasanie. Zmierzch mojego Kościoła”.

Katopracus

Zaczął się, gdy 15-letni Tomasz rozpoczął edukację w warszawskim liceum nr XVII im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Publicznym i jak najbardziej świeckim, a że obciążonym dziedzicznie uczniem o nazwisku Grzegorz Przemysław. Nie tylko jednak. Liceum kształtowało bowiem niezłomność postaw etycznych takich jegomościów jak Macierewicz czy Cejrowski.

Liceum Frycza jest o tyle ważne w przypadku Terlikowskiego, że gdy tam przyszedł, był – jak sam mówi – zwolennikiem aborcji. Kończył je jako pielgrzymkowy obieżyświat służący do mszy i rozważający wstąpienie do seminarium.

Poznał jednak późniejszą panią Tomaszową Terlikowską i kończy zupełnie przyjemnie, acz katolicko, jako student Uniwersytetu kardynała Stefana Wyszyńskiego. Robi tam kolejne dyplomy, a w końcu doktorat.

Wraz z doktoratem doczekał się po pięciu latach małżeństwa pierwszej progenitury. Jako mąż i ojciec czuje potrzebę zarabiania pieniędzy i zaczyna pracować.

Robi to, na czym zna się najlepiej. Płodzi książki o tematyce kościelnej. A ponieważ twórcą jest płodnym, to w ciągu 10 lat sygnuje swoim nazwiskiem 30 publikacji. Od dysput teologicznych, przez wywiady rzeki i tłumaczenia z rosyjskiego, po powieść fantastyczno-religijną.

Przy okazji pracuje w „Newsweeku”, Rádiu Plus, redakcji katolickiej TVP, dzienniku „Życie”, „Rzeczpospolitej” i tygodniku „Wprost”. W tygodniku Janusza Palikota „Ozon” jest zastępcą naczelnego. We wrześniu 2009 r. zostaje szefem zarządu Wydawnictwa Fronda. Prowadząc też „Śniadanie bez polityki” w radiowej Jedynce i dorabiając w Tok FM. Ba, od 2004 do 2012 r. był redaktorem naczelnym Ekumenicznej Agencji Informacyjnej ekumenizm.pl. A w TVP2 współtworzył cykl „Wojna światów”, przy okazji będąc autorem scenariusza „Kwartetu Teologicznego” i prowadząc magazyny historyczne w TVP Historia.

Gdyby dołożyć do tego kilka blogów z niemal codziennymi wpisami, parę felietonów do prawicowych tygodników i Twittera, i Fejsbuka, to i tak będzie mało. Oprócz tego Terlikowski był rozchwytywany przez wszystkie radia i telewizje jako komentator oraz przez domy kultury na spotkania z ciekawym człowiekiem. No i jeszcze obligatoryjny udział we mszach i pielgrzymkach...

Tajemnicą Terlikowskiego było, jak przy tym nawale zajęć wywoływał przyrost demograficzny. Normalny człowiek, robiąc to wszystko, nie miałby się czasu zdefekować, a doktor dorobił się piątki dzieci.

Katofundamentalista

Poglądy Terlikowskiego w tym czasie są takie jak Boga. „Seks homoseksualny mężczyzny z mężczyzną i kobiety z kobietą jest w oczach



Jak się leczyć, kiedy ma się do czynienia z polską służbą zdrowia.

Trzy zdrowaśki ministrowi Leszczyny

O ile jeszcze w 2014 r. na publicznej opiece zdrowotnej psy wieszało 68 proc. Polaków, o tyle po rządach PiS malkontentów jest już 79 procent.

Na zabiegi, operacje, jak czekało się latami, tak się czeka. Na wizyty u specjalistów – też. Wszystko wskazuje, że w sukurs ministrze Leszczynie może przyjść tylko Kościół katolicki. Ministra jest tego zupełnie świadoma, dlatego nie skrobnęła żadnego okólnika wyganiającego kapelanów szpitalnych ze szpitali, ani nawet nie zakazała wydawania budżetowej kasy na opłacanie ich etatów. Do ponoszenia kosztów ich zatrudnienia zobowiązany jest zakład opieki zdrowotnej. A kapelana zatrudnia większość z około 600 szpitali w Polsce. Harują na ćwierć, pół lub trzy czwarte etatu. Tylko nieliczni księża nie pobierają wynagrodzenia, pracując w formie wolontariatu. Tymczasem konkordat nie reguluje sprawy zatrudniania kapelanów w szpitalach. Omawia kwestie ich zatrudnianie w wojsku czy na uczelniach, ale nie w placówkach medycznych. Jest w nim mowa o tym, że jest to dopuszczalne, ale to wynika przede wszystkim z konstytucji. Ustawa zasadnicza w art. 53 ust. 2 mówi, że człowiek ma prawo do pociechy duchowej tam, gdzie się znajduje i to na tej marnej podstawie wywiedziono prawo do obecności księży w szpitalach.

Więc dyrektor szpitala zatrudnia kapelana na podstawie umowy o pracę po rozmowie z nim. Składki za szpitalnych klechów opłacane są nie przez Fundusz Kościelny, tylko z ZUS.

Na chorym Polaku resort zdrowia wymusza zatem odrzucenie miazmatów nauki i nakazuje zdać się na wiarę. W niej znajdzie terapię na wszystkie schorzenia. Kościół do ich leczenia oddelegował wszak wyspecjalizowane kadry świętych.

Dowodem na skuteczność takiego leczenia jest, że dzięki jego stosowaniu, od niemal dwóch tysięcy lat chrześcijanie, a nade wszystko katolicy, mają się nie najgorzej.

Gdy boli głowa

W przypadku mieszkańca Mazowsza nie ma sensu iść do przychodni po skierowanie do poradni leczenia bólu. Na wizytę można się tam jednak załapać dopiero za 86 dni.

Ale jeśli po zjedzeniu specyfiku Goździkowej i innych wciskanych reklamą środków przeciwbólowych łomot pod czaszką nie ustaje, udajemy się do najbliższego dużego budynku z wielkim krzyżem na dachu, wyciągamy książeczkę do nabożeństwa i wyszukujemy stosowną modlitwę do św. Anastazji. Gdyby nie pomogło, wspomagamy się nowenną do św. Dionizego. Jeśli jednak objawy nie ustąpiły, zalecany jest tygodniowy post

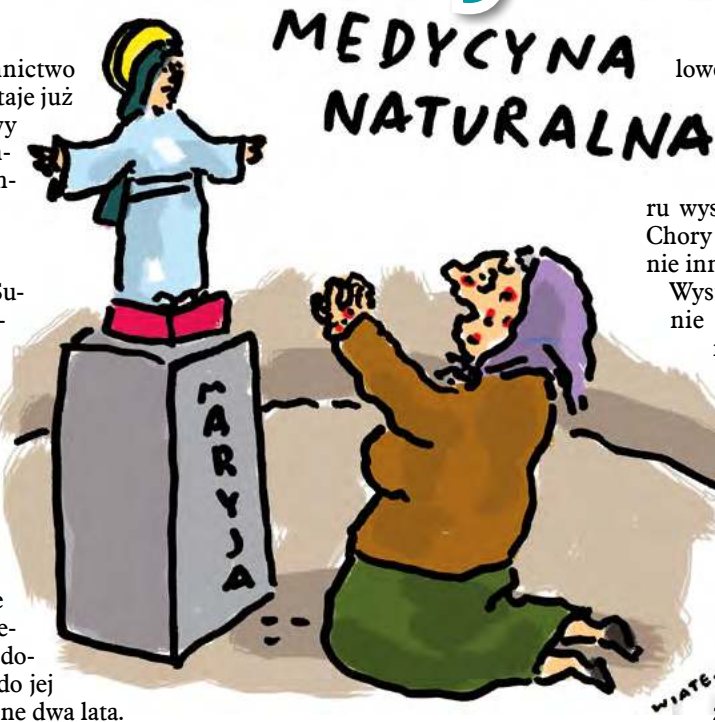
i pacierz o wstawiennictwo św. Teresy. Potem zostaje już tylko dwutygodniowy post absolutny i kontakt z relikwią św. Pankracego.

Gdy bolą stawy

Jak się mieszka w Suchej Beskidzkiej i najbliższy termin wizyty w poradni ortopedycznej ma się wyznaczony za siedem miesięcy, nie należy wpadać w panikę. Zwłaszcza, gdy kogoś doprowadzają do łez stawy biodrowe. Gdyby okazało się, że konieczna będzie operacja wszczepienia endoprotezy, to od wizyty do jej montażu upłyną kolejne dwa lata.

Dłatego w momencie nasilenia się bólu należy paść na kolana i najzwyklej jak można, zażądać pomocy od św. Burcharda. Nie od rzeczy będzie również nawiedzić poświęcone mu sanktuarium i złożyć odpowiednie wotum.

MEDYCYNANATURALNA



Gdy boli brzuch

Nie ma co iść do lekarza pierwszego kontaktu. Parę godzin w przychodni może zaowocować zarażeniem się niefajną chorobą. Poza tym medyk albo przepisze coś doraźnego i przeciwbó-

lowego, albo z wielką niechęcią skieruje pacjenta na badania, tudzież do specjalisty. Chyba że pacjent mu się nie spodoba i w ramach popucia mu humoru wystawi skierowanie do onkologa. Chory winien więc skorzystać z zupełnie innej ścieżki terapeutycznej.

Wystarczy przecieć trzy razy dzień nie zanieść modły do św. Erazma męczennika. Gdyby nie pomagało, pacjent winien zorientować się gdzie jest najbliższy ołtarz przedstawiający Erazma i się doń pofatygować z pielgrzymką.

Gdy boli gardło

Na początek cierpiący wykupi w aptece wszystko, co reklamują telewizje. Gdy po wydaniu kilkudziesięciu złotych w gardle wciąż będzie się panoszyło stado krwiożerczych bestii, dotychczasowe przyzwyczajenie nakazywałoby każdemu biec do przychodni. Oczywiście po antybiotyku, o którym każdy użytkownik YouTube'a i Facebooka wie, że to zło wymyślone przez lobby farmaceutyczne.

„Nie ma znaczenia, czy w konkretnych sprawach rację ma ks. Piotr Natanek czy jego biskup. Głos przełożonego jest bowiem głosem Boga. Bóg może chcieć sprawdzić pokorę, posłuszeństwo, wierność Kościołowi – i dopuszczać złe decyzje (nie twierdź, że ta jest taka). A kapłan, zakonnik ma się im podporządkować”.

Doktor Tomasz posiłkował się czasem rozumem. „Uznanie, że genetyczny mężczyzna jest kobietą tylko dlatego, że naszprycowano go hormonami i wykastrowano, jest czymś, na co nie pozwala mi nie tyle wiara, czy honor, ile rozum”.

Dzieci Terlikowskiego mogły jednak być zagrożone edukacją seksualną. „Nie chciałbym, żeby nauczyciel w szkole pokazywał moim dzieciom jak wkładać prezerwatywę na banana. Rodzice sami powinni rozmawiać ze swoimi dziećmi na temat seksu. Nie chciałbym, żeby szkoła uczyła moje dzieci rozpusty seksualnej”.

Seks i religia są podówczas dla Terlikowskiego tożsame nawet z kobiecymi piersiami. „Usunięcie jajników, które zapowiada obecnie Angelina Jolie, będzie skutkowało w całym jej życiu, a wielu z jej skutków nie da się usunąć, a mastektomia także nie jest usunięciem pryszczy, ale operacją, która narusza integralność cielesną człowieka” – grzmi.

In vitro, aborcja i eutanazja to w tych czasach – w oczach Terlikowskiego – zło absolutne. Każda eutanazja, każde in vitro i oczywiście każda aborcja. Ale już nie każda antykoncepcja. Dobra jest ta dopuszczona przez Kościół, czyli kalendarzyk albo to, co robiła żona doktora. Czyli wkładanie sobie co rano palców i odgadywanie barwy i konsystencji wyciągniętego przez nie śluzu. Złe antykoncepcje to prezerwatywy, pigułki czy wczesnoporonne – według niego – wkładki domaciczne.

Jeszcze gorsze było dla doktora szczepienie przeciwko wirusowi HPV: „upowszechnienie szczepionki byłoby prostą drogą do rozwiązłości polskich dziewczynek. A to jest nie dość, że niemoralne, to jeszcze groźne, gdyż mogą się one nabawić chorób wenerycznych”.

Wtórowała mu w tym żona. W 2015 r. we „Frondzie” napisała: „Ja naszych córek nie zaszczeplię”. Zaś jej mąż w „Rzeczpospolitej” poszedł dalej: „Prawdopodobieństwo raka szyjki macicy spada niemal do zera, gdy małżonkowie są dla siebie pierwszymi i jedynymi partnerami seksualnymi i gdy dochowują sobie wierności. Szczepionka – przynajmniej to nawet jej wielcy zwolennicy – ma o wiele niższą skuteczność, a do tego wcale nie udowodniono, że w ogóle działa”.

Kato-Katon

Poza seksem pola zainteresowań Terlikowskiego były przeogromne. Gdy w Kielcach na cmentarzu żydowskim lokalny fotograf zrobił sesję modelce w bikini, to jął judzić, że to bluźnierstwo wolające o pomstę do prokuratury. Gdy kurator sądowni chciał odebrać opiekunom dziecka z nadwagą, oznajmił: „od teraz nasze drzwi muszą być zamknięte przed MOPS-em i rozma-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

itymi innymi urzędami. Państwo z instytucji usługowej, pomocowej, stało się zagrożeniem dla rodziny. I trzeba mieć tego świadomość, zanim zgodzimy się, by do naszego domu wszedł jakkolwiek urzędnik państwa polskiego. Od teraz nasz dom powinien być naszą twierdzą”.

Poza tym Terlikowski używał języka, którego „NIE” by się nie powstydziło i to na dodatek atakując swojego byłego chlebodawcę: „Ja pierdolę, Palikot trzeci w Polsce. Polacy zwariowali. Pora szykować się na ostrą wojnę światopoglądową. Nie odpuszczę – przynajmniej ja – temu s... i jego poplecchnikom. I powiem krótko: wstyd mi za tych, którzy zagłosowali na mendę w przebraniu trefnisia”.

Najdziwniejsze jednak, Terlikowski nigdy nie miał zmiłowania dla kościelnej hierarchii. Dekady temu skutecznie zastopował ingres do warszawskiej archikatedry abepe Stanisława Wielgusa, wyciągając mu kwity z IPN. Potem z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim napisali wywiad rzekę „Chodzi mi tylko o prawdę”, gdzie

przewieźli się po homoseksualnej mafii w Kościele. Potem od Terlikowskiego oberwał abepe Józef Michalik za to, że ukreślał łeb sprawie pedofilskiego proboszcza z Tylawy.

Członkowie episkopatu nie pozostawali Terlikowskiemu dłużni. Kard. Stanisław Dziwisz zabronił Terlikowskiemu rekolekcji na jego terenie. Zaś ksiądz o wdzięcznym nazwisku Biskup wysmarował w sieci taki oto apel: „Czy znajdzie się jakiś odważny przełożony w Kościele, który zabroni pewnemu katolickiemu, świeckiemu redaktorowi wypowiadać się w każdej sprawie i w sprawie każdego »ex cathedra«. Tak mi się marzy, by w końcu miał szansę wypowiadać się jak człowiek”.

Katokurek na dachu

Savonarola to jednak z Terlikowskiego nie był. Niemal po każdym ataku na hierarchę pisał kilka tekstów wychwalających klechę pod niebiosa. Dzięki temu mógł działać tak jak biskupi chcieli. Chcieli zaś, by Terlikowski dawał odpór mediom. Bo Terlikowski był jedynym, który dzięki swojej wiedzy był w stanie tłumaczyć na fundamentalistyczny język Kościoła w Polsce zarówno niezrozumiałe co pustosłowne – acz brzmiące liberalnie – gadki prymasa Wojciecha Polaka, jak i papieża Franciszka.

Bo kiedy papież, dostawszy pytanie o antykoncepcję w przypadku takiej zarazy jak wirus Zika, przypomniał: „Paweł VI, wielki człowiek, w trudnej sytuacji w Afryce pozwolił zakonnikom na stosowanie antykoncepcji w przypadku gwałtu. Unikanie ciąży nie jest złem absolutnym”, to Tomasz Terlikowski wiedział lepiej. „Ani w oficjalnym nauczaniu Pawła VI, ani w jego prywatnych wypowiedziach nie ma żadnego przyzwolenia na antykoncepcję – ani jako zasady ogólnej, ani jako wyjątku, np. w odniesieniu do zakonnic zagrożonych gwałtami w Afryce” – wyjaśnił.

Wywalony kawalek

Publicystyka Terlikowskiego bywała niewygodna i dla ludzi PiS. Gdy w internecie pojawiło się zdjęcie wykonane przez dziennikarkę „Gazety Polskiej Codziennie” przedstawiające kamienicę, w której kiedyś mieszkał Lech Kaczyński z małżonką, w jednym z okien pisowcy wypatrzyli cień przypominający Lecha Kaczyńskiego. Doktor wysmiał ten nowo powstający kult. Wyśmiał, rzecz jasna, z katolickiego punktu widzenia.

Co się stało, że wiedząc, jak to zostanie odebrane w Kościele, Terlikowski udzielił wywiadu braciom Sekielskim do filmu „Zabawa w chowanego”? Dlaczego w 2021 r. przewodził pracom niezależnej komisji badającej działania duchownego oskarżonego o liczne przestępstwa,

w tym seksualne, wiedząc, że może przez to stracić część fuch? Znając hierarchów i katolickich kolegów, mógł domyślać się konsekwencji tych działań, ale mimo to w nie wchodził. Uznał, że pora zmienić front. W 2022 r. po tym, jak skrytykował ministra edukacji Przemysława Czarnka za słowa o skazaniu za pedofilię mężczyzny związanego z PO, współpracę z Terlikowskim zerwała telewizja Republika i niezależna.pl. Rok później odmieniony Terlikowski poinformował, że grozi mu proces kanoniczny za nagłaśnianie działań księdza, który stanął na czele sekty.

Nie oszczędza papieża. Przy okazji afery z seksualnym drapieżcą jezuitą Marko Rupniukiem pisze: „deklaracje papieża Franciszka o tym, że chce on chronić także bezbronnych i zależnych dorosłych w Kościele niewiele są warte, że to zwyczajny PR, i że także dla Franciszka (który niestety broni Rupnika od dawna) ważniejszy jest przestępca seksualny, jeśli tylko jest znanym artystą, niż jego ofiary”. Potem wyciąga i publikuje kwity hierarchii łowickiej dotyczące zamieniania tamtejszych afer pod dywan. Przy tej okazji staje się przedmiotem ataków konserwatywnego Klubu Jagiellońskiego. Ostateczny rozwód ze środowiskiem zawodowych katolików z PiS bierze, gdy w różnych mediach udowadnia, że kryzys Kościoła w Polsce spowodował Jarosław Kaczyński.

Dziś Terlikowski jest wszędzie. Od RMF, przez „Newsweeka”, „Wprost”, po prasę katolicką. Pojawia się w mediach od zawsze sprzyjających Platformie. Nowy, przemieniony Terlikowski już nie piętnuje z pozycji fundamentalistycznych każdego przejawu odstępstwa od wiary. Teraz opowiada w Onecie: „Nie twierdź, że każdy musi być członkiem Kościoła katolickiego. Zresztą to w Polsce wyraźnie widać – członków Kościoła jest coraz mniej”.

Prywatni znajomi Terlikowskiego dzielą się na dwie kategorie. Tych, którzy go wciąż znają i tych, którzy znać go nie chcą. Dla tych pierwszych był miłym facetem, obdarzonym niesamowitą wiedzą i pamięcią. Facetem, który współpracował sobie medialny wizerunek fundamentalisty. Według nich

katotalib Terlikowski był wyłącznie kreacją na potrzeby rynku pracy. Druga grupa uważała go za cynicznego gracza. Nieuznającego żadnych wartości i bezwzględniego dla innych.

Otwarte pozostaje pytanie, czy dzisiejsza wola Terlikowskiego jest wolą, czy kolejnym dopasowaniem się do dającego zarobić rynku?

TADEUSZ JASIŃSKI

Trzeba zatem iść do kościoła i pogadać chwilę ze św. Błażejem, który do świętości doszedł właśnie gardłem. Podcięty przez złych ludzi zresztą. Gdyby objawy chorobowe nie chciały ustąpić po jednym dniu, należy wzmocnić leczenie odmówieniem nowenny do św. Otylii.

Gdy bolą zęby

Ponieważ w ramach NFZ z zębami można zrobić niewiele, a na dodatek kolejki do bezpłatnego dentysty znacznie przekraczają wytrzymałość na ból u przeciętnego wyborcy, należy wybrać rozwiązanie zgodne ze stereotypem Polaka-katolika.

Wchodzimy więc w internet i szukamy kościoła p.w. św. Apolonii. Oczywiście można też znaleźć ołtarz jej poświęcony, ale nie gwarantuje to całkowitego wyleczenia. Odwiedzając sanktuarium, należy wiedzieć, że Apollonia została świętą w wyniku wybicia zębów i spalania na stosie i w związku z tym należy wizytę i modlitwę do niej wzmocnić darem wotywnym w postaci łyżeczki lub srebrnej plakietki przedstawiającej szczękę lub zęby.

Gdy chorują drogi moczowo-płciowe

Żadna szanująca się wyborczyni Kosiniaka-Kamysza i żaden dobrze myślący o sobie osobnik głosujący na Hołownię, gdy będą mieli wysięk lub upływ z okolic nader intymnych, nie pobiegnie przecież afiszować się z tym przed panią z rejestracji czy lekarzem. Wszak wszystkie badania wskazują,

że kobieta głęboko wierząca nawiedza ginekologa tylko będąc w ciąży, a praktykujący facet nie odważy się wyciągnąć penisa w gabinecie pod żadnym pozorem.

I dlatego chlamydii, rzeżączki, czy rzeżistka pozbywamy się 10-dniowym postem i codzienną modlitwą do św. Florencjusza. Nie od rzeczy jest też pacierz do odpowiedzialnych za leczenie chorób zakaźnych św. Rozalii i św. Genowefy.

Gdy oczy nie działają

Posiadanie dziecka, które dopadła niemoc wzroku, będąc zamieszkałym w Jędrzejowie, stwarza rodzicowi wiele niezapomnianych kombinacji. Najprościej jest czekać na wizytę u okulisty dziecięcego przez 5,5 miesiąca. To, że z powodu niewidzenia dzieciak opuści się w szkole i może połać kości, objając się o meble, to przecież w odpisanej Polsce rzecz mniejszej rangi.

Od czego bowiem jest cierpiąca niegdyś na wrodzoną ślepotę św. Otylia? W ciągu ponad pół roku czekania na wizytę, można przecież wyskoczyć do Hohenburga, wykłepać stosowny pacierz i zostawić świętą wotum w postaci woskowych oczu. Gdyby jednak zez, zaćma, czy jakiegokolwiek inne zaburzenie wzroku nie ustąpiło, należy odwiedzić sanktuarium poświęcone św. Klarze lub św. Łucji z Syrakuz.

Gdy dopadną choroby skóry

Dla uczciwego Polaka i jeszcze bardziej uczciwej Polki wizyta u dermatologa jest obciążona ryzykiem bycia

postrzeganym jako nosiciel choroby przenoszonej drogą płciową, więc ubieganie się o skierowanie nie jest wskazane.

Stąd, starając się jak najmniej drapać, udajemy się do kościoła. Najlepiej takiego, gdzie wisi obraz ze św. Bartłojem. Dzięki modłom wznoszonym do niego wypryski ustąpią, wrzody znikną, a skóra odzyska swój naturalny kolor. To bowiem przez obdarcie ze skóry Bartłoj został świętym. Jeśli jednak skóra jest zainfekowana syfiliśsem i opryszczką genitalną, zostawiamy Bartłoję i z nim żona lub mąż się zorientują, biegaemy pomodlić się do św. Jerzego.

Gdy chorują piersi

Poza feministkami, które zostawiają matkami, obnoszą się ze swoimi gruczołami piersiowymi publicznie, prawdziwa Matka-Polka ukrywa cucky skrzętnie w staniku. Ale bez względu na to, rak piersi i tak zabija u nas co trzecią niewiastę, u której go zdiagnozowano. Nie przynoszą skutku ani akcje bezpłatnego badania mammograficznego, ani ulotki uczące kobiety, jak samej badać sobie cucky. Co roku na nowotwór gruczołu piersiowego zapada kilka tysięcy niewiast.

Zdają przed Panem Bogiem?

Pod koniec 2023 r. na wizyty do polskich specjalistów czekało: do okulisty – 445 813 osób, do neurologa – 293 620, do kardiologa – 183 552, do ortopedy – 179 753, do dermatologa – 165 615 osób, do urologa – 112 403 osoby, a do endokrynologa – 106 623.

Na udzielenie świadczeń w szpitalnych oddziałach otorynolaryngologicznych czekało 91 445 osób, w oddziałach zaś ortopedycznych – 76 380.

Do rezonansu magnetycznego w kolejce zapisanych było 216 431 osób. Na kolonoskopię – 148 421, zaś do tomografu – 113 977.

Reumatyzm w Sanku nie jest sprawą przyjemną. Nim opowie się o nim specjalista, nosi go się w kościach ponad osiem miesięcy.

A przecież trzy dni o chlebie i wodzie plus modlitwa do św. Wawrzyńca powinny sprawę rozwiązać. W końcu święty przeniósł się na tamten świat w wyniku pieczenia w klatce nad ogniskiem.

Gdy niedomagają nerki

Dawców nerek jest jak na lekarstwo. Dializy nie są fajne. Nefrologów brak, a kolejki do nich, na prowincji liczy się w miesiącach.

Ale codzienna nowenna do św. Szczepana załatwi sprawę. A to, że Szczepan został patronem chorób ne-

rek ze względu na to, że zabito go kamieniami? No cóż, kamica nerkowa, to też mocno niefajne doznanie.

Gdy dopada Parkinson

Jeśli trzęsie się choremu wszystkim, kiedy bełkocze i nie jest w stanie sam się nakarmić, a na dodatek mieszka w Makowie Mazowieckim i musi na wizytę u neurologa czekać 360 dni, to rodzinie delikwenta zostaje tylko jedno.

Szczęśliwie jednak jesteśmy w Polsce, więc w tym przypadku nie powinno być problemów ze znalezieniem przybytku, w którym jest ołtarz poświęcony św. Janowi Pawłowi II. Który, jak wiadomo, odniósł wielkie sukcesy w walce z tą jednostką chorobową.

Publiczna służba zdrowia w Polsce, przy każdej władzy zdaje się być tak zorganizowana, by zrobić zadość życzeniu Wojtyły o uszlachetniającą rolę cierpienia. Wielomiesięczne kolejki do zabiegów usmierzających ból pokazują, że naprawdę zmierzamy w kierunku nakreślonym przez Kościół. Ludzie czekający na operację, zabiegi i wizyty u specjalistów są poddani takiej traumie, że w ciemno biorą to, co głoszą szwendający się po szpitalach księża i ci gadający przy ołtarzach również. Cierpiący ludzie wierzą w zbawienną moc pacierzy i wiary w cuda. Dzięki niemocy systemu zdrowotnego, zamiast się kurować, setki tysięcy chorych, codziennie zasila kiesę kleru żerującego na niedostatkach medycyny.

TOMASZ BOROWIECKI

Kronika zapowiedzianego ludobójstwa

Izraelskie „oskarżenia w lustrze”.

W psychologii znany jest tzw. efekt lustra, który sprowadza się do tego, że widzimy w świecie wokół nas odbicie własnej psychiki. Nieuświadomione czy wyparte elementy tego, co w nas tkwi, znajdują odzwierciedlenie w naszym otoczeniu. Doskonałym tego przykładem są pijący alkoholicy przekonani, że wszyscy wokół chłają, a także przemocowcy, którzy są święcie przekonani, że świat wokół nich chce im uczynić krzywdę. Nie wspominając o spiskowcach zwykle mających paranoidalne inklinacje, węsząc wszędzie tajemne konspiracje.

Na poziomie społecznym jakas odmiana indywidualnego efektu lustra stają się „oskarżenia w lustrze” (zwane też lustrzaną propagandą), które są bardzo niebezpiecznym zjawiskiem, które prowadzi do zbrodni, czystek etnicznych i ludobójstwa. Jeśli szukacie audiowizualnego wprowadzenia do tematu to polecam przystępny w formie i treści film na YouTube, znajdujący się na kanale „Myśleć Głębiej”.

Lustrzana propaganda we współczesnej wersji rozwinęła się w Ameryce, tej krynicy wolności i nowoczesności.

Czarna propaganda

Kenneth L. Marcus w klasycznym artykule naukowym sprzed parunastu lat opisał m.in. oskarżenia w lustrze, które dotyczyły czarnych mężczyzn po wojnie domowej i zniesieniu niewolnictwa. Tylko do 1930 r. zlinczowano co najmniej 3700 czarnych mężczyzn oskarżonych o gwałty na białych kobietach.

Kiedy biała kobieta uznała, że czarny mężczyzna spojrział na nią przez chwilę zbyt długo i podzieliła się tym z innymi białymi mężczyznami, dla oskarżonego mógł to być wyrok śmierci. Idea białej supremacji nie pozwalała

wierzyć bardziej czarnemu mężczyźnie niż białej kobiecie.

Większość białych mężczyzn z południa Stanów Zjednoczonych wierzyła, że czarnoskórzy mężczyźni potajemnie pożądają „ich” kobiet, generalnie uznając oskarżenia o gwałt za wiarygodne. Biali mężczyźni wierzyli, że czarnoskórzy mężczyźni potajemnie pożądali i gwałcili białe kobiety, a to dlatego, iż w wielu przypadkach sami żyli dokładnie takie same pragnienia i gwałcili czarne kobiety. Według Marcusa „to oczywiście nie przypadek, że gwałty były systematycznie zadawane afroamerykańskim kobietom przez cały długi okres niewolnictwa i długo po nim”, zaś „do czasu emancypacji czarnoskóre kobiety nie miały prawa do wnoszenia oskarżeń o gwałt”.

Jeszcze w 1867 r. prawo stanu Kentucky definiowało gwałciciela jako osobę, która „bezprawnie i cielesnie poznaje białą kobietę, wbrew jej woli lub zgodzie”. Nawet po formalnej zmianie prawa dotyczącego gwałtów, biali mężczyźni często wykorzystywali gwałt jako „broń terroru” przeciwko czarnym kobietom na Południu.

Argumentum ad Hitlerum

Człowiek to taka pokrecona istota, że własne okrucieństwo stara się „właściwie” uzasadnić, stosując mechanizm pokreśnej projekcji: bożek eksterminacji, niesławny Adolf H., który przez lata przestawiał gospodarkę na tory wojenne, wciąż powtarzał, że nie chce wojny.

W przemówieniu w Reichstagu 1 września 1939 r., kiedy bomby spadały na nasz kraj, wyrażał nadzieję, że „stosunki między Niemcami i Polską nabiorą charakteru pokojowego”, zaś właśnie w nocy „żołnierze regular-

nych wojsk polskich po raz pierwszy ostrzelali nasze własne terytorium”. Miłośnik wojny totalnej dodał też swoją humanitarną „propozycję dla reszty świata”, zapewniając: „nie będę prowadził wojny przeciwko kobietom i dzieciom, poleciłem, aby moje siły powietrzne ograniczyły swoje ataki wyłącznie do celów wojskowych”.

wę. Dzisiaj widać, że wszystko to spaliło się na panewce. Ponieśliśmy koszty naszego ponadnormatywnego zaangażowania, a skończyliśmy z narastającą wzajemną niechęcią i deklaracjami polowania na uciekających przed wojną Ukraińców”.

Według badań Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii, w ciągu ostatnich dwóch lat zaufanie Ukraińców do Wołodzimyra Zelenińskiego spadło z 90 do 60 proc.

Wacław Radziwiłowicz wciąż nie pogodził się z wyborczym zwycięstwem Władimira Putina i na łamach „Gazety Wyborczej” pisze o jego programie na następną kadencję, a konkretnie o putinowskiej tradycji niedotrzymywania obietnic. Radziwiłowicz przytacza m.in. zapowiadany przez prezydenta Rosji sześć lat temu wzrost średniej długości życia. Redaktor pomija fakt, że Rosjanie żyją dłużej i to mimo pandemii COVID-19. Liczy się wyłącznie, że nie osiągnęli zakładanego poziomu 78 lat, zatem Putin obietnic nie dotrzymuje, a co gorsza, nikt go z ich realizacji nie może rozliczyć, gdyż „formalnie są nie jego zadaniem, bo on tylko stawia je rządowi. A ten ma osiągnąć wyznaczone cele. Jeśli się nie uda, to jego wina, a nie Putina. (...) Putin więc po każdej klapie planów nakreślonych w dekretach majowych wychodzi na scenę, jak to mówią Rosjanie »biały i puszysty«”. Czekamy na podobny felieton red. Radziwiłowicza o realizacji przez Donalda Tuska „100 konkretów na pierwsze 100 dni”.

MAREK SANOWSKI

ukraina.tygodniknie@gmail.com

Joseph Goebbels na początku lat 30. XX w. mówił o żydowskich planach sterylizacji Niemców przez Żydów, kiedy to już hitlerowcy sterylizowali Żydów, Romów, osoby niepełnosprawne fizycznie i upośledzone umysłowo. W 1941 r. ten sam Goebbels wydał broszurę, w której snuł wizję zagłady, którą Żydzi chcą zgłodzić Niemcom.

Oskarżenia w lustrze mogą mieć daleko idące konsekwencje, o czym przekonał się Julius Streicher, kierujący brunatnym szmatławcem „Der Stürmer”. W Norymberdze Międzynarodowy Trybunał Wojskowy sądził go za podżeganie do ludobójstwa. Streicher oskarżał Żydów o ludobójcze plany wobec Aryjczyków, uzasadniając tym samym wyprzedzający mord na Żydach. Koniec końców dostał karę śmierci i egzekucję wykonano. Więcej szczęścia miał propagandysta Hans Fritzsche. Uniewinniono go, uznając, że – to kluczowe słowo – bezpośrednio nie podlegał do zbrodni.

Inne zdanie miał niemiecki wy-

nie uważała za obiecujący. Na miejscu trzeba było wysiedlić tamtejszą ludność, która dopiero niedawno i bez przekonania zaczęła zyskiwać cechy narodu. Nieuniknionym skutkiem kolonizacji są konflikty; ci, którzy uważali, że można ich uniknąć oszukiwali samych siebie. II wojna światowa i spowodowana przez nią zagłada Żydów stworzyły warunki, które umożliwiły Zachodowi utworzenie państwa osadników. Państwo Izrael jako schronienie dla prześladowanych Żydów powstało w ostatnich godzinach, a właściwie w ostatnich chwilach umierającej epoki kolonialnej”.

A skoro, chcąc nie chcąc, trzeba wziąć za mordę ludność miejscową, to warto mieć na podorędziu jakieś uzasadnienie, czego świadectwo widzimy w trakcie obecnego ludobójstwa w Gazie.

Karta kredytowa Holocaustu

„Chcemy ludobójstwa Żydów” – krzyczeli protestujący studenci kalifornijskiej manifestacji przeciwko rzezi w Gazie. Ten post opublikowany przez amerykańską celebrytkę Mayim Bialik (Polkę z pochodzenia?) udostępniono setki tysięcy razy.

Rzecz jasna, była to wierutna bzdura. Takie hasła nie pojawiły się nigdy na żadnym protestie. To typowa propaganda w lustrze w sytuacji, gdy – jak pisze Naomi Klein – młodzi ludzie walczą z bombardowaniem obozów dla uchodźców za przeksztalceni w nieomalże nazistów.

Na łamach lewicowego czasopisma „The Nation” Dave Zirin, uczestnik wielu lewicowych protestów – w trakcie których skandowano pod adresem premiera Izraela Benjamin Netanjahu: „Oskarżamy cię o ludobójstwo” – podkreślił, że nigdy nie był świadkiem żadnych antysemitkich ekscesów podczas manifestacji. Więcej: na większości z nich przemawiali rabini i progresywne organizacje żydowskie, w tym Jewish Voice for Peace.

Konserwatyści i prowojenni liberałowie niczym papugi powtarzają, że horror w Gazie jest poniekąd moralny, zabiega bowiem kolejnej Zagłady. Pewien członek amerykańskiej Izby Reprezentantów pojawiał się w pracy w mundurze armii izraelskiej i bezwstydnie porównywał w Kongresie palestyńskich cywilów znalezionych w gruzach do nazistów. Zastanawiające, że jednymi z głównych ofiar proizraelskiej nagonki są sami Żydzi, którzy w szeregach lewicy, zwłaszcza radykalnej, są niezwykle nadreprezentowani, kontynuując tradycję Marksa wywodzącego się z rodziny rabinów.

Doskonałym tego przypadkiem jest potomek ocalałych z Holocaustu i syn lewicowego rabina Oren Schweitzer. Na łamach magazynu „Jacobin” pisał on, że kiedy syjonisci wykorzystują traumę Zagłady do obrony izraelskiego apartheidu, zdradzają ducha „nigdy więcej”, który miał zapewnić, że świat nigdy nie będzie biernie przyglądał się zbrodniczym okrucieństwom. Coraz trudniejsza do zniesienia staje się dlań myśl, że wielu z jego rodaków „stało się tymi samymi potworami, przed którymi uciekł mój dziadek”.

Schweitzer zauważył wprost: „Gdy dorastałem, stało się jasne, że kraj, który twierdził, że reprezentuje mnie w imię okropności, przez które przeszła moja rodzina, został założony – i nadal jest wspierany – przez trwające czystki etniczne. W bolesnym zwrocie historycznej ironii, duża część historycznie przesiedlonej i uciskanej grupy zinterpretowała traumatyczną przeszłość tej grupy jako imperatyw do powtórzenia tych samych zbrodni, z którymi kiedyś miała do czynienia”.

Liczy mówią same za siebie (stan na 13 maja): w ataku na Izrael 7 października 2023 r. Palestyńczycy zabili 1139 osób i raniili 8730. Żydzi od tego czasu zabili w Gazie co najmniej 35 091 ludzi (w tym ponad 14 500 dzieci), raniąc 78 827 osób; za zaginionych uznaje się ponad 10 tys.

Przemoc izraelska nie ominęła też Zachodniego Brzegu: tam życia pozbawiono 498 ludzi, w tym 124 dzieci, ranniono ponad 4950 osób.

Zniszczono lub uszkodzono 60 proc. domostw w Gazie, znaczną większość szkół, szpitali i wodociągów, a także 267 miejsc mużulmańskiego kultu.

Czekamy, kiedy ktoś za to wszystko odpowie zgodnie z konwencją o zapobieganiu i karaniu ludobójstwa...

KATARZYNA KOENIG

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

Andriej Bielousow zastąpi Siergieja Szojgu na stanowisku ministra obrony. Z kolei Szojgu zostanie sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w miejsce Nikołaja Patruszewa – poinformował rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow. Nowy minister obrony jest ekonomistą, wcześniej pełnił funkcję m.in. ministra rozwoju gospodarczego, doradcy prezydenckiego oraz pierwszego wicepremiera. Rosyjskie media opisują go jako zwolennika silnego, ingerującego w gospodarkę państwa i pogromcę korupcji. Jego nominacja wskazuje, że priorytetami rosyjskiego rządu w zakresie obronności będą gospodarnie zarządzanie armią i rozwój przemysłu zbrojeniowego.

„Powołałam komisję rządową, która dostanie termin dwumiesięczny. I w ciągu dwóch miesięcy przygotuje raport, z którego będzie wynikało, kto, gdzie i dlaczego i za ile podlegał takim wpływom. Kto wykonywał zlecenia z Rosji i Białorusi. I przede wszystkim, kto podejmował decyzję o ukreśnianiu tych spraw” – obwieścił Donald Tusk, utwierdzając nas w przekonaniu, że przed wyborcze obietnice „powrotu do normalności w polityce” były, jak mówił Lenin, „formalnie poprawne, w istocie rzeczy zaś – sztyderstwem”.

Adam Michnik zdecydował się opublikować drugie wydanie książki pt. „Dialogi”. Jest to zbiór jego rozmów z zmarłym niedawno Aleksiejem Nawalnym. Panowie

dyskutują m.in. o Krymie. „Michnik: Myślę, że jedyne dobre rozwiązanie kwestii krymskiej to organizacja referendum pod kontrolą międzynarodową. Dopuszczam nawet możliwość podobnego referendum w Donbasie. Jeśli chcą do Rosji – proszę bardzo. Chcą niezależności – proszę. Nawalny: Pana punkt widzenia będzie bardzo niepopularny na Ukrainie. Michnik: Ale ja tak właśnie myślę. I nie rozumiem, dlaczego Kijów ma na siłę trzymać Ługański i Donieck(...)”. Bardzo trafne. Szkoda tylko, że w michnikowskiej gazecie za wygłaszanie takich tez natychmiast zostaje się ruską onucą i agentem Putina.

Łukasz Warzecha na łamach „Do Rzeczy” przytacza wyniki sondaży, w którym zapytano Ukraińców jakie narody darzą sympatią. Kanadę i Łotwę wskazało 93 proc. respondentów, Francję, Litwę i Wielką Brytanię – 92 proc., Estonię – 91 proc., zaś Niemcy – 90 proc. Polska znalazła się daleko w tyle – raptem 58 proc. Ukraińców ma do nas pozytywne nastawienie. Jak podsumowuje Warzecha: „Bilans jest zatem dla nas absurdalny. Przez ponad dwa lata Polska robiła znacznie więcej, niż było konieczne (...)”. Przez wiele miesięcy pielęgnowana była narracja o wielkiej i dożgonnej przyjaźni między państwami i narodami. Na tej bazie jako dogmat obu stron politycznego sporu wykuto twierdzenie o poparciu Polski dla przystąpienia Ukrainy do NATO i UE. (...) Niemcy w ukraińskim układzie odniesienia miały zostać trwale wyparte przez Warsza-

Kiedy lewicowy rząd wypuścił katalońskich separatystów z więzień, Katalończycy przestali na nich głosować.

W wyborach do regionalnego parlamentu Katalonii po raz pierwszy od dekady zwolennicy niepodległości przegrali z socjaldemokratami z PSOE. To dowód na trafność gołębiej polityki socjaldemokratycznego rządu premiera Pedra Sáncheza – polityki, przeciwko której patriotyczni Hiszpanie tłumie wychodzili na ulice, oburzeni propozycją, którą lider postfrankistowskiej Partido Popular (PP) Alberto Núñez Feijóo nazwał „wstydliwą i upokarzającą”, a także „największą obrazą wobec godności, równości i podziału władz, jaką widziała zachodnia demokracja”.

Te wzniosłe hasła – podzielane także przez sporą grupę wyborców PSOE, którzy protestowali ramieniem z prawakami – to tak naprawdę protest przeciwko uwolnieniu więźniów politycznych.

Na tym bowiem polegał deal, jaki Sánchez zawarł z katalońskimi secesjonistami: w zamian za poparcie jego mniejszościowego gabinetu obiecał wypuścić z więzień dziewięciu liderów odpowiedzialnych za organizację separatystycznego referendum z 2017 r. Drugim krokiem jest amnestia obejmująca do półtora tysiąca osób, skazanych lub sądzonych za udział w protestach i organizacji referendum. Amnestia nie jest automatyczna – poszczególne przypadki będą rozpatrywane przez sądy w oparciu o przepisy ustawy amnestyjnej.

Zawał – akt terroryzmu

Ustawa „o amnestii w celu instytucjonalnej, politycznej i społecznej normalizacji Katalonii” ma niezbyt długą, ale skomplikowaną historię. Powstała na podstawie porozumienia katalońskich separatystów z rządem Sáncheza – ale w styczniu padła w kongresie (niższej izbie kortezów), gdyż separatyści zagłosowali przeciwko niej. Uczynili tak w obawie, iż zapis wyłączający spod amnestii przestępstwa o charakterze „terrorystycznym” będzie przez sądy wykorzystywany do obejścia nowego prawa. Nie były to obawy pozbawione podstaw – hiszpańscy sędziowie wykazują skłonność do uznawania za terroryzm pokojowych demonstracji; stąd nowa wersja ustawy mówi wyraźnie, iż chodzi o terroryzm w rozumieniu prawa europejskiego, a więc akty przemocy, które spowodowały utratę życia lub zdrowia ludzi.

Ustawa jeszcze nie weszła w życie – w marcu przegłosował ją kongres, teraz czeka na decyzję senatu, w której prawicowa większość pewnie ją odrzuci, po czym wróci do kongresu, gdzie prawdopodobnie znów przejdzie – ale prawacy hiszpańscy sędziowie już kombinują, jak obejść to ograniczenie. Sędzia Manuel García-Castellón ze specjalnego sądu karnego Audiencia Nacional usiłował obciążać protesty przeciwko wieloletnim wyrokom więzienia dla liderów ruchu separatystycznego, znane jako Tsunami Demokratyczne, odpowiedzialnością za śmierć francuskiego turysty, który zmarł na zawał na lotnisku w Barcelonie. Co prawda Francuz dostał zawału w terminalu 2, a protest zablokował terminal 1 i nawet francuski rząd ogłosił, że śmierć ich obywatela nie ma z demonstracjami nic wspólnego – sędzia uznał jednak, że człowiek się zdenerwował przez rozłamowców i dlatego odwalił kite.

Przyczyny nieufności, jaką darzą hiszpańskie sądy katalońscy separatyści – a także szerzej, cała niewywodząca się z prawicy część sceny politycznej – tkwią, niezaskakująco, w historii. Sądy zdominowane są przez prawackich pogrobowców ruchu frankistowskiego. Nie tylko dlatego, że demokratyczne przemiany po śmierci Franco były z natury swojej ostrożne w eliminowaniu ciągle potężnych wpływów ludzi dawnego reżimu, ale też ze względu na majstrowanie przy najwyższych instancjach, uprawiane przez rządy postfrankistowskiej Partido Popular.

Konstytucja w cieniu junty

Pochodząca z 1978 r. hiszpańska konstytucja – pisana w atmosferze zagrożenia wojskowym zamachem stanu w wykonaniu generałów upadającego reżimu – zawiera podyktowany przez frankistów zapis o „nierozwiązywalnej jedności hiszpańskiego narodu, wspólnej i niepodzielnej ojczyzny wszystkich Hiszpanów”. Z drugiej strony, dla zaspokojenia dążeń Katalonii, Kraju Basków, Galicji i Andaluzji, w konstytucji znalazł się zapis, iż Hiszpanię tworzą „narodowości i regiony”. Myślenie ustrojo-



Hiszpański gołąbek pokoju

dawców było takie, iż wraz z postępem procesu demokracji i eliminacją groźby kontrataku ludzi junty, ograniczona początkowo autonomia regionów będzie wzrastała, a Hiszpania będzie powoli zmierzać w kierunku kraju formuły federacyjnej.

Zmierzała rzeczywiście powoli. Dopiero w 2005 r., po zwycięstwie wyborczym lewicy i objęciu stanowiska premiera przez José Luisa Zapatero, kataloński parlament, z poparciem 120 ze 135 deputowanych, przyjął nowy statut autonomii – regionalną konstytucję, która definiowała Katalończyków jako „narod” i ustanawiała daleko idącą samodzielną regionu. Statut wymagał zatwierdzenia przez parlament Hiszpanii, gdzie – mimo obietnic składanych przez Zapatero w kampanii – wprowadzono sporo zmian, które dalece osłabiły jego wymowę. Mimo tego obywatele Katalonii zatwierdzili okrojony przez kortezy statut w referendum stosunkiem 74:21 proc. głosów. Wtedy do akcji wkroczył hiszpański Trybunał Konstytucyjny, do którego statut zaskarżyła Partido Popular, podważając 113 z jego 221 artykułów.

Ponieważ PP udało się zablokować wybór nowych członków TK i zatrzymać w składzie swoich, których kadencja powinna się skończyć w 2007 r., trybunał orzekł po jej myśli i powołując się na frankistowski zapis o „nierozwiązywalnej jedności”, uznał statut Katalonii za niekonstytucyjny. W procesie na ulice Barcelony wyszło ponad milion ludzi. Demonstracja zaczęła się pod hasłami uznania narodu katalońskiego i prawa do autonomii, ale szybko pojawiły się okrzyki o niepodległości.

Zbrodnia niewywieszenia flagi

W 2011 r. władzę w Hiszpanii przejęła PP, która rozpoczęła działania na rzecz recentralizacji i dalszego zmniejszania autonomii Katalonii. Za sojusznika rząd miał TK, który – zgodnie z przepchniętą w 2015 r. przez ówczesnego premiera Mariano Rajoya nowelizacją – został wyposażony w kompetencje wykonawcze: prawo do zawierania urzędników, a także karania drakońskimi grzywnami tych, którzy nie podporządkują się trybunalskim decyzjom; dostał też własną policję.

W 2014 r. parlament kataloński podjął pierwszą próbę przeprowadzenia referendum w sprawie niepodległości. Wobec niezgody rządu centralnego, referendum przemianowano na niewiążące konsultacje ludowe. Hiszpański TK zakazał także konsultacji, więc Katalończycy cofnęli się o dalsze pół kroku, przemianowali konsultacje na wydarzenie obywatelskie organizowane przez wolontariuszy poza regionalnymi strukturami administracyjnymi. W tak kompletnie nieformalnym głosowaniu wzięły udział ponad 2 mln osób – 80 proc. było za niepodległością. Hiszpański prokurator generalny urządził polowanie na polityków zaangażowanych w organizację głosowania; liderzy zostali skazani na wysokie grzywny, otrzymali zakaz pełnienia funkcji publicznych. Za realizowanie woli katalońskiego suwerena sądzonych było ponad 400 urzędników; przestępstwa kryminalne, które im zarzucano, to np. niewywieszanie hiszpańskiej flagi albo otwarcie urzędu w hiszpańskie święta narodowe.

W odpowiedzi Katalonia zapowiedziała formalne referendum – zaplanowano je na 1 października 2017 r. Ono także zostało zakazane

przez hiszpański Trybunał Konstytucyjny. Tym razem jednak Katalończycy zastosowali politykę „ani kroku wstecz”. W odwecie TK kazał aresztować urzędników, którzy pracowali przy organizacji referendum. Na polecenie Trybunału zamknięto portale internetowe, które informowały o referendum, zarekwirowano prawie 10 mln kart do głosowania. Represje były brutalne, wyroki dla liderów ruchu referendalnego drakońskie – od 9 do 13 lat. Część z nich – w tym najsłynniejszy Carles Puigdemont – uciekło do innych krajów europejskich, które odmawiały wydawania ich Hiszpanii, argumentując, iż opozycyjna działalność polityczna prowadzona środkami pokojowymi nie jest w ich kodeksach przestępstwem.

Oportunizm dla dobra ojczyzny

Socjaldemokrata Pedro Sánchez, którego rząd objął władzę po aferze korupcyjnej, jaka dopadła Partido Popular w 2018 r. – i przetrwał w formie mniejszościowej lub rozpaczliwie koalicyjnej przez kolejne kryzysy i przedterminowe wybory aż do dziś – początkowo zdawał się zwolennikiem surowego traktowania separatystów. Postawę złagodził, kiedy okazało się, że głosy Katalończyków są mu potrzebne w obecnej kadencji – to oczywiście przyniosło mu ze strony prawicowej opozycji zarzuty cynizmu, oportunizmu i przedkładania własnych politycznych interesów nad dobro kraju.

Prawacy mają pewnie rację w ocenie motywacji premiera – ale efekty jego działań przynoszą zaskakującą konkluzję: interes polityczny Sáncheza okazał się zgodny z dobrem kraju. Nawet, jeśli dobro to rozumiemy zgodnie z frankistowskim wtrętem do konstytucji. Złagodzenie podejścia rządu centralnego do kwestii katalońskiego separatyzmu odebrało temu ostatniemu wiatr z żagli.

Niedzielne wybory do parlamentu katalońskiego wygrała Partia Socjalistów Katalońskich (PSC), regionalna odnoga PSOE, zdobywając 28 proc. głosów i 42 mandaty w 135-osobowej izbie. Koalicja twardych secesjonistów Junts per Catalunya, której przewodniczył Carles Puigdemont, ma drugie miejsce i 35 mandatów. Rządząca dotychczas formacja mniej radykalnych lewicowych secesjonistów, Republikańska Lewica Katalonii, spadła na miejsce trzecie z 20 mandatami. Po raz pierwszy od dekady zwolennicy katalońskiej niepodległości do kupy nie dostali większości głosów i nie mają większości mandatów w regionalnym parlamencie.

W komentarzach słychać, że Katalończycy – kiedy przestali być dopychani kolanem do ściany przez rząd centralny i nie muszą już stawiać kos na sztorc, czy co tam *guerillas* mają w zwyczaju – dostrzegają inne problemy nurtujące ich region: od kryzysu w służbie zdrowia i edukacji aż po katastrofę klimatyczną, która w Katalonii od trzech lat przejawia się bardzo brutalnymi suszami. Walka o niepodległość zeszła na dalszy plan – kiedy już przestała być zakazana. Z korzyścią nie tylko dla „instytucjonalnej, politycznej i społecznej normalizacji Katalonii”, ale także dla „nierozwiązywalnej jedności hiszpańskiego narodu”. To ważna lekcja dla prawaków ze skłonnością do zamordyzmu – nie tylko w Hiszpanii.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Nowy premier Szkocji John Swinney potwierdził stanowisko dwójga poprzedników w kwestii praw osób transpłciowych. Politycy Szkockiej Partii Narodowej wyraźnie niczego się nie uczą: wiele wskazuje na to, że jednym z powodów odejścia poprzedniego premiera Humzy Yousafa była jego determinacja w sprawie przeprowadzenia reformy ułatwiającej osobom trans prawne uzgodnienie płci. Kiedy Swinney orzekł, że „transpłciowa kobieta jest kobietą”, do gardła rzuciły mu się tzw. terfy (zwolenniczy radykalnego pseudofeministycznego ruchu wykluczającego osoby transpłciowe – trans exclusionary radical feminism). Szkocka Sieć Feministyczna ogłosiła: „Cale to zamieszanie i tak naprawdę nic się nie zmienia. Nowy premier uważa, że istnieją dwie drogi do kobiecości (podobnie jak dwaj poprzednicy): biologia i fantazja. Wiemy, co stało się z dwoma ostatnimi premierami, więc szykuj się, John”. Nie ma to jak groźby w służbie równości.

2. Narodowa Sala Posagowa w budynku waszyngtońskiego Kapitolu mieści 99 posągów wybitnych Amerykanów; każdy stan ma prawo do dwóch. Północna Karolina dokonała właśnie wymiany swoich idoli: gubernator Charles Aycock, wielki zwolennik supremacji białej rasy, został zastąpiony przez telekaznodzieję Billy’ego Grahama. Karolina walczy o jego statuetę od 2015 r., tylko musiała poczekać, aż wielebny walnie w kalendarz, co zrobił w 2018 r. w wieku 100 lat. Billy był wielkim zwolennikiem Nixona, którego przekonywał, że „morderczy uścisk Żydów na gardle Ameryki musi zostać przełamany, albo kraj pójdzie w kanał”; nie był za to entuzjastą Martina Luthera Kinga, którego radził, żeby „trochę przyhamował” z tymi prawami obywatelskimi. Ruski dowcip nam się przypomniał: „Stoit statuja, imiejte chuja”... Czasem to wszystko, co ma.

3. W Barracas w Argentynie niejaki Justo Fernando Barrientos umcał kilka szmat w benzynie, podpał i wrzucił do pokoju swoich sąsiadek. Trzy z nich z nich: Mercedes Figueroa, Pamela Cobas i Andrea Amarante zmarły w wyniku poparzeń, czwarta, Sofía Castro Riglos, trafiła do szpitala i ma szansę na przeżycie. Mercedes i Pamela – które były parą – od dwóch lat wynajmowały pokój w budynku będącym czymś między czynszówką i schroniskiem dla bezdomnych. Przysgarbnyli Sofię i Andree, kiedy te straciły dach nad głową. Przyczyny ataku nie są znane, ale niejaką sugestią może być fakt, że Justo regularnie wrzeszczał na sąsiadki nazywając je „dziwadłami” i „tłustymi lesbami”. Jedną z pierwszych decyzji niedawno wybranego ultraprawicowego prezydenta Argentyny Javiera Milei była likwidacja ministerstwa ds. równości.

4. Tornado, które uderzyło w miasteczko Barnsdall w Oklahomie z prędkością 280 km/h, zmiołło wszystko w pasie mierzącym ponad 60 km długości: budynki, drzewa, lokalną rafinerię, będącą głównym pracodawcą w okolicy. Zniszczenia były tak potężne, że trasa tornada jest widoczna z kosmosu. Wiatr oszczędził za to tabernakulum w lokalnym kościele katolickim Matki Bożej. „Bóg to sprawił. Nie ma żadnego innego wytłumaczenia, dla którego nasz kościół ciągle stoi po tym co wydarzyło się w Barnsdall w niedzielną noc” – raduje się ksiądz Emmanuel Nduka. Może by zapytał Boga, dlaczego sprawił, że 40 rodzin straciło dach nad głową, dom opieki został zrównany ziemią, jedna osoba nie żyje, a jedna jest zaginiona?

Refleksje powyborcze.



Polska klasa polityczna i polska publicystyka wciąż przetwarzają wielką zmianę polityczną. Klęskę wyborczą Prawa i Sprawiedliwości i sukces koalicji 15 października. Dziesiątki artykułów ubolewają nad grozą i nikczemnością populistyczno-nacjonalistycznego autorytaryzmu, jaki nami przez osiem lat władał i opiewa chwałę demokracji, która zwycięsko powróciła i ten autorytaryzm próbuje rozliczyć. Uderza jednak płytkość tych rozważań, a wiele kwestii skądinąd bardzo istotnych uchodzi uwagi.

1.

Autorytaryzm Jarosława Kaczyńskiego był dość pośledniego gatunku na tle zarówno polskich, jak i europejskich doświadczeń – pasowałby raczej do trzeciego świata. Zarówno intelektualnie, jak kadrowo. Nie pozostała po nim żadna wzniosła i głębsza myśl. Walka z dwoma wrogami, wschodnim i zachodnim sąsiadem, w tej nowej wersji to tylko żałosna popłuczyna po katastrofalnej dla Polski polityce dwóch wrogów z czasów II wojny światowej. Nawet pewne przebyski wyczucia socjalnego w realizacji zostały zmarnowane i wyrodziły się w prymitywne rozdawnictwo. Za co ta ekipa się nie brała, wszystko psuła. Jej ubóstwo kadrowe, prymitywizm, demoralizacja, aferalność i zachłanność na posady i pieniądze oraz piramidalna kłamliwość zdumiewają nawet na tle niezbyt budującego pod tym względem Wschodu Europy. Na swój mit założycielski jak na urągawisko wybrała po amatorsku zorganizowaną i zdumiewająco niekompetentnie realizowaną tragiczną wyprawę lotniczą. Dwie piramidy chwały zamierzone przez tę ekipę są też marnego gatunku. Pałac Saski, nie polski i nie dla Polaków zbudowany urzędniczy biurowiec w wersji paskiewiczowskiej oraz może i racjonalny, lecz zupełnie niezdarne, bez kalkulacji i eksperckich studiów poczęty Centralny Port Lotniczy.

Na szczęście ten autorytaryzm okazał się płytko i powierzchownie zakorzeniony w społeczeństwie, błyskawicznie roztrwonil resztki zdolności koalicyjnej i osamotniony po ośmiu latach poległ od kartki wyborczej. Autorytaryzm sanacji w II RP trwał 13 lat i nie zanosiło się na to, że ulegnie kartce wyborczej – zgubiła go wielka wojna. Autorytaryzm lewicowy ustanowiony po wojnie przez zwycięskie mocarstwa przetrwał ponad 40 lat i sam się zwinął po zmianie warunków geopolitycznych. Były to autorytaryzmy, jak widać, solidniejszego gatunku.

2.

Demokracja zarówno w wydaniu przedpisowskim, jak i w obecnym popisowskim też nie jest najlepszego gatunku. Znacznie ustępuje zachodnim wzorcom. Oczywiście na tle okropieństw PiS-u wydaje się i nawet rzeczywiście jawi się zbawieniem, lecz nie powinno to jednak przesłaniać jej skaz i ułomności. Wynikających z solidarnościowego, a więc populistycznego rodowodu i dawnej polskiej tradycji. Tę dzisiejszą polską demokrację od zachodnioeuropejskiej różni przede wszystkim to, że przewodząca jej partia, podobnie jak PiS, zarządzana jest autorytarnie, a nie demokratycznie. Starsi z nas pamiętają trzech tenorów na czele Platformy Obywatelskiej u jej narodzin. Rychło i żwawo Donald Tusk wszystkich postraktował jak rywali i skutecznie wymiksował. W partiach politycznych na Zachodzie, i konserwatywnych, i postępowych, jest to niemożliwe, zubożałoby bowiem te partie intelektualnie i pod względem wpływów. W Polsce jednak model wodzowski ma wzięcie tak w zamordyzmie, jak w demokracji. Teraz, zdaje się, też to grozi.

Po drugie, nasza demokracja podobnie jak autorytaryzm nie toleruje sojuszników politycznych. Autorytaryzm ich zwyczajnie pożerał lub jak w przypadku Andrzeja Leppera usiłował zniesła-

wić i zamknąć w kryminale przy pomocy dość nieudolnej, choć w skutkach tragicznej policyjnej prowokacji. Demokratyczna PO łagodniej się z nimi obchodzi, po prostu marginalizuje, ale rezultat jest podobny: wykańcza.

Po trzecie, tak polski współczesny autorytaryzm, jak i demokracja potrzebują wroga do prześladowania. Autentycznego lub wrobiego, na siłę obsadzonego w tej roli. Licznych obywateli drugiej kategorii. W II RP taką funkcję pełniły mniejszości narodowe – 40 proc. ludności kraju. Mimo ich liczebności, pozostawały przez całe dwudziestolecie na marginesie życia politycznego, bez dostępu do funkcji administracyjnych. Ani jeden Ukrainiec czy Żyd – choć było ich łącznie 7 mln – nie został starostą czy wicestarostą, nawet wójt. Nawet nauczyciel Ukrainiec po odpowiednich studiach nie dostał posady w państwowej szkole na kresach, co najwyżej w centralnej Polsce i to w drodze wyjątku.

To sobkowskie zawłaszczanie państwa wyłączanie dla siebie obowiązujące również dzisiaj. W roli chłopców do bicia występują tzw. komuniści, których w Polsce Ludowej od 1956 r. już praktycznie nie było, a po 1968 r. nawet ślad po nich zaginął. Mimo to dekomunizacja bez komunistów trwała w najlepsze: historyczna i przestrzeni publicznej, z zapalem i za dobre pieniądze realizowana pod egidą Instytutu Pamięci Narodowej oraz dyskryminacyjna w polityce personalnej wszystkich partii posolidarnościowych. Autorytaryści i demokraci na tym polu niezmordowanie rywalizowali. Skutków tej rywalizacji doświadczyli na sobie sędziwi emeryci mundurowi i wdowy po nich, którym emerytury obcinali kilkakrotnie platformersi i pisowcy po kolei. Nowa rządząca koalicja nie śpieszy się z naprawą ich krzywdy. W 35 lat po upadku Polski Ludowej mamy w Polsce wciąż liczne tysiące obywateli drugiej kategorii, upośledzonych w prawach i dyskryminowanych niezależnie od tego, czy rządził autorytaryzm, czy demokracja. Niechęć do zerwania z tym antydemokratycznym procederem dyskryminacji i zemsty wyróżnia nasz kraj niekorzystnie na tle innych o podobnej historii.

3.

Istnieje jeszcze jedna antydemokratyczna skaza współczesnej polskiej sceny politycznej, może nawet najpoważniejsza, choć rzadziej wymieniana. Pluralistyczna wielopartyjność w Polsce po 1989 r. ewoluowała podobnie jak w wielu innych krajach w kierunku dominacji dwóch partii z uzupełniającą rolę kilku dodatkowych. W odróżnieniu jednak od państw o ugruntowanej demokracji, a nawet od większości nawróconych na demokrację po upadku ZSRR, ta dwupartyjność ma postać nie tyle rywalizacyjną co wręcz wrogą. W zachodniej Europie z reguły i w Ameryce w większości rywalizujące w procesie wyborczym i co pewien czas zmieniające się u władzy partie zachowują szacunek dla podstawowych norm ustrojowych i dyrektyw racji stanu, czasem gwarantowanych konstytucyjnie, a często tylko zwyczajowo uznanych za nienaruszalne. To poszanowanie nienaruszalności czy też wyłączenia z bieżącej polityki ważnej i dość obszernej sfery życia publicznego zapewnia ciągłość

struktur ustrojowych i zasad politycznych państwa mimo rotacji powodowanej przez wybory. Ta ciągłość jest wartością bez wątpienia pozytywną dla obywateli i dla państwa.

Polska współczesna pod tym względem jawi się niechlubnym wyjątkiem. Dwie największe partie rywalizujące o władzę traktują się wyjątkowo wrogo i odsadzają od czci wiary. Mimo iż wywodzą się z tego samego korzenia, z politycznej nadbudowy populistycznej rebelii ludowej w PRL, czyli z Solidarności.

W pamięci całej generacji nie zatął się jeszcze ślad po tzw. Popisie, czyli koalicji PO i PiS, która szykowała się do przejęcia władzy po 10-letniej kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego i czterolet-

nich rządach SLD. Miał być pisowski prezydent z Gdańska i platformerski premier z Krakowa. Koalicja została zerwana, zanim zdążyła sięgnąć po władzę. Zerwał ją PiS, ale po dwu latach odegrała się PO. Niezwykle szybko w ciągu kilku lat rozgorzała między obu partiami – czy raczej obozami politycznymi – swoista zimna wojna. Pełna obelg i totalnej dyskryminacji, kłamliwych oskarżeń. Gdyby dominujący w świecie model kultury politycznej przyzwalał na więcej przemocy, jak np. w XVII w., zimna wojna z łatwością przekształciła by się w gorącą, czego i teraz wykluczyć nie można. Ale nawet ta zimna wystarczająco psuje państwo, zrywa ciągłość jego pracy, komplikuje powyborcze transformacje i normalne funkcjonowanie. Zubaża też rezerwy kadrowe pracy państwowej każdorazowo do zasobów jednej tylko partii, osłabia kraj i spowalnia jego rozwój.

Warto zwrócić uwagę na to, że podobny rodzaj międzypartyjnego pieniactwa cechował także Polskę w okresie międzywojennym. Podobną wrogość żywiły wobec siebie dwie podówczas najsilniejsze partie sceny politycznej: Narodowa Demokracja Romana Dmowskiego i obóz Józefa Piłsudskiego. Wyborczo silniejsza była endecja, ale władzę zagarnął i niezmiennie od 1926 do 1939 r. trzymał obóz Piłsudskiego, w oparciu o wojsko i policję. Wojskowy zamach stanu w maju 1926 r. wymierzony był w endecję, a nie w lewicę, z której wsparcia korzystał. Obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej ustanowiono w 1934 r. z myślą o endekach i oni byli pierwszymi jego więźniami. Piłsudski znał się dobrze z Dmowskim, w młodości w Wilnie zalecali się do tej samej damy. Ale w XX w. rozmawiali ze sobą tylko dwukrotnie: w 1904 r. w Tokio i w maju 1920 r. w Warszawie, poza tym starannie się unikali aż do śmierci, choć przewodzili najważniejszym obozom politycznym kraju. Jerzy Gedroyc mawiał, że do dziś Polską rządzą ich trumny.

Ten szczególny rodzaj politycznego pieniactwa, mimo wspólnego rodowodu endecji i piłsudczyzny sięgającego popowstaniowej Ligi Polskiej Zygmunta Miłkowskiego, da się wyjaśnić wzajemnie wykluczającymi się koncepcjami w sprawie dróg do niepodległości oraz kształtu odradzającego się państwa. Piłsudski stawiał na czyn zbrojny i powstańczy, Dmowski – na dyplomację i politykę. Piłsudski marzył o odbudowie państwa w granicach przedrozbiorowych w formie federacji z Ukrainą, Białorusią i Litwą pod polską hegemonią, a Dmowski realistycznie poprzestawał na mniejszym państwie z mniejszościami narodowymi w liczbie nadającej się do asymilacji i polonizacji, choćby nawet brutalnej. Piłsudski swego programu nie zrealizował, ale endeków też nigdy nie dopuścił do władzy. Dzięki temu wrogość z endecją nie zagroziła ciągłości państwa.

Korzenie dzisiejszej posolidarnościowej wersji politycznego pieniactwa w Polsce nie są jasne. Najpewniej doszukiwać się ich należy w solidarnościowym rodowodzie PiS i PO. Ściślej – w populistycznej składowej tego rodowodu. Populizm ludowy cechuje wysoki poziom nietolerancji dla wszelkiej odrębności i niezależności, czyli wrogość wobec demokracji. Zauważyli to już mędrcy starożytności, analizując ochlokrację, czyli rządy tłumu w odróżnieniu od demokracji, czyli rządów ludu. PiS odziedziczyła tę skazę w mocniejszej, wręcz dominującej postaci, PO – w słabszej, ale też wystarczającej dla zdeformowania i wypaczenia demokracji. Obie partie przejęły i nawet umocniły szczególną formę antykomunizmu bez komunistów, nie tyle ideologicznego, co dyskryminującego i demoralizującego. Władysław Bieńkowski, intelektualista który osobiście doświadczył komunizmu i antykomunizmu, mawiał: „Jest tylko jedna rzecz głupsza od komunizmu, antykomunizm właśnie”. Miał na myśli tę jego postać.

Najlepszą drogą do przezwyciężenia tej pieniaczej skazy polskiej sceny politycznej byłoby jej opanowanie przez nowe siły wolne od rodowodowych obciążeń posolidarnościowych i popeerelowskich również, czyli zakorzenione w teraźniejszości i zwrócone ku przyszłości. Nie będzie o to łatwo – zgodnie starają się temu zapobiec Tusk i Kaczyński poapołu.

M.Z.

R E K L A M A

Lud Warszawy wymierzył biskupom sprawiedliwość. A szubienica była odpowiedzią na zdradę

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Lud Warszawy wymierzył biskupom sprawiedliwość. A szubienica była odpowiedzią na zdradę

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ

CZŁOWIEK ZIOBRY UCIEKŁ NA BIAŁORUŚ

Sport bez hamulców

Krótki samouczek wiedzy o żuźlu.

Pamiętam z czasów, gdy hormony dopiero zaczynały we mnie buzować, a w szkole pociągałem dziewczęta za warkoczki, z jaką pasją rzucaliśmy się z kolegami na wszelkie poradniki typu „Co każdy chłopiec wiedzieć powinien”. Nie istniały strony XXX w internecie, w ogóle internet nie istniał, wiedzę trzeba było zdobywać samodzielnie, z czasem, ale to dopiero w ogólniaku, empirycznie. Ech, piękne lata, niestety nie wrócą...

Wspomnienia młodości nasunęły mi pomysł, żeby napisać krótki samouczek zatytułowany „Co każdy kibic żuźla wiedzieć powinien”. Zwłaszcza że świeżo mamy w pamięci turniej Grand Prix na Stadionie Narodowym w Warszawie. Pierwszy rozdział samouczka mógłby być zatytułowany: „Dlaczego polski żuźlowiec nigdy nie wygrywa w stolicy swojego kraju”.

Warszawa nie dla Polaków

W tym miejscu oczywiście należałoby się podprzeć analizami uczonych ludzi, ale po ich wysłuchaniu i tak nie będziecie mądrzejsi. Naprawdę nie wiadomo, dlaczego reprezentacyjny obiekt stolicy jest zaczarowany dla Bartosza Zmarzlika i jego kolegów. Niektórzy zwracają uwagę na fakt, że zawodnicy są przyzwyczajeni do startów na kameralnych stadionach i doping ponad 50-tysięcznej publiczności może ich onieśmielać. Inni zauważają, że zawodnicy w Warszawie ścigają się na sztucznie stworzonym na jedne zawody torze, nieco krótszym i węższym niż inne. Zapominają tylko dodać, że wspomniane ograniczenia dotyczą wszystkich, nie tylko Polaków.

Po raz pierwszy w Warszawie zawody z cyklu Grand Prix zorganizowano w 2015 r. i trwa to (z roczną pandemiczną przerwą) do dziś. Z ręką na sercu – nie wiem czy datę 2015 można wpisywać do oficjalnego samouczka, bo pierwszy warszawski turniej bardziej przypominał parodię, niż zawody sportowe. Tor się sypał, nie można było na nim wyprzedzać, w końcu popsuła się maszyna startowa i wypuszczanie rajderów na trasę machnięciem sędziowskiej chorągiewką sprawiło, że ci w końcu się zbuntowali i odmówili jazdy. Organizatorzy liczyli na gratulacje, a otrzymali z trybun niesamowitą porcję gwizdów.

Speedway znaczy żuźel

Czas na kolejny rozdział samouczka: „Historia żuźla w pigułce”. Za początek tej dyscypliny motorowej uznawany jest wyścig zorganizowany w 15 grudnia 1923 r. na torze dla kłusaków w australijskim West Maitland. Co ciekawe, Australia wciąż jest potęgą w tym sporcie, a niedawne zawodny na Narodowym w Warszawie wygrał Australijczyk Jason Doyle, który po ciekawej walce nie pozwolił Bartoszowi Zmarzlikowi na wprowadzenie poprawki do pierwszego rozdziału niniejszego samouczka. Doyl na wielu rodaków w naszych klubach, wszyscy jeżdżą świetnie, ale do ojczyzny zaglądną rzadko, bo tam sława sportu żuźlowego mocno przygasła. Obecnie poza Europą uprawia się go tylko w USA (Kalifornia), Argentynie, Nowej Zelandii i może jeszcze gdzieś, o czym nie wiem.

W Polsce ścigano się na niezmodyfikowanych jeszcze motocyklach już w latach trzydziestych minionego wieku, ale o prawdziwym żuźlu można mówić w okresie powojennym, zaś regularna liga została zorganizowana w 1948 r.

W latach 50. minionego wieku mieliśmy nawet polski motocykl przystosowany do tego sportu. Nazywał się WSK FIS z Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Rzeszowie. Skonstruowali go pasjonaci tego sportu Tadeusz Fedka i Romuald Izewski, ale polski wyrób nie wytrzymał konkurencji z czechosłowacką Javą.

Uwaga, uczestnicy krótkiego żuźlowego kursu!

Jeśli będziecie rozmawiać z cudzoziemcem i używać polskiej nazwy żuźel, nie zostaniecie zrozumiani nie tylko za sprawą skomplikowanej fonetyki tego słowa. Na całym świecie na żuźel mówi się speedway.

Polskie słowo żuźel, które dało nawet potoczną nazwę całej dyscyplinie – czarny sport – wzięło się z tego, że początkowo ścigano się na prawdziwym żuźlu, który jest hutniczym odpadem i faktycznie ma bardzo ciemny kolor.



ILUSTR. PAWEŁ FERENC

Obecnie tory nie są czarne, mają różne odcienie, a do ich tworzenia używa się mieszanek pokruszonego granitu i sjenitu (rodzaj skały), ale motocykliści – zgodnie z tradycją – jeżdżą po torach nazywanych czarnymi.

Przygotowanie toru to wyższa szkoła jazdy. Zajmują się tym toromistrze, którzy pod okiem trenera starają się stworzyć takie warunki, aby najlepiej jeździło się gospodarzom na własnym obiekcie. Zaszło to tak daleko, a przewaga miejscowych zaczęła być tak wyraźna nad przyjezdnymi, że obecnie dzień przed zawodami pojawia się na stadionie przedstawiciel władz i sprawdza, czy toromistrz nie zagalopował się w swoich sztuczkach; w razie potrzeby zarządza poprawką.

Motor z brakami

Teraz o żuźlowym motocyklu. Z całą pewnością nie zostałby dopuszczony do ruchu ulicznego. Kwestią podstawową jest brak hamulców. Wbrew pozorom, decydują o tym względy bezpieczeństwa. Nietrudno wyobrazić sobie, co działo się na torze, gdyby jeden zawodnik przestraszył się i nacisnął na hamulec. Od razu na plecach miałby rywala. A to wszystko przy prędkości przekraczającej 100 km/h. W czarnym sporcie hamuje się przymykając gaz lub/i stawiając motocykl w poprzek toru. Z tego samego powodu na kolarskim torze rowery pozbawione są hamulców.

Brak skrzyni biegów i oświetlenia wydaje się przy braku hamulców drobiazgiem, ale to także byłby powód zabrania dowodu rejestracyjnego podczas kontroli przez patrol policji drogowej.

Żuźlowcy na torze zawsze skręcają w lewo, ale wbrew pozorom kierownica pozwala skręcać w obu

kierunkach. W wybieraniu kierunku pomaga jednak nie tylko kierownica, ale także ułożenie ciała na maszynie i nóg opartych na specjalnych hakach. Dlaczego podczas zawodów zawsze skręca się w lewo, a nigdy w prawo, nie zostało do końca wyjaśnione. Najprawdopodobniej we wczesnych latach dyscypliny zadecydowało o tym ogromne zainteresowanie tym sportem w Australii i w Wielkiej Brytanii, gdzie obowiązuje ruch lewostronny i ten kierunek wydawał się naturalny.

Motocykl żuźlowy, na którym ścigają się dorośli, nie może ważyć mniej niż 77 kg, silnik ma pojemność 500 centymetrów sześciennych, spala czysty spiryтус metylowy (metanol), a jego konstrukcja pozornie jest bardzo prosta – trochę przypomina schematy, na jakich w szkole uczono mnie zasady działania silnika spalinowego. Z fabryki jednostka napędowa trafia jednak do tunera, który fabryczny wyrób przygotowuje do wymogów zawodów. Specjaliści są niezwykle wysoko cenieni (i opłacani), sprawozdawcy telewizyjni wymieniają nie tylko markę silnika, który wmontował rajder do swojego motocykla, ale także nazwisko tunera.

Informacja, że żuźlowiec zmienia warsztat,

odbija się równie szerokim echem, jak ta, że zmienia barwy klubowe (co akurat w tym sporcie jest zjawiskiem dość powszechnym).

Silnik, nawet od najlepszego tunera (za najlepszego uznawany jest Polak Ryszard Kowalski), niczego jeszcze nie gwarantuje. Przed każdym biegiem mechanicy, kierujący się uwagami zawodnika, dokonują licznych zmian w ustawieniach (dysza, zapłon, zębata, ciśnienie w oponach) i ma to duży wpływ na wynik. Czasem do końca zawodów nie udaje się znaleźć odpowiedniego ustawienia. Nieprawdą jest, że silnik musi być jak najmocniejszy. Zbyt duża moc może stać się przeszkodą podczas pokonywania łuków toru. Naprawdę o wszystkim decydują nuanse, którymi na poziomie kursu podstawowego dla kibica nie musimy sobie zwracać głowy.

Drobni przedsiębiorcy z dużymi pieniędzmi

Żuźel nie jest sportem tanim. Zawodnik musi mieć co najmniej trzy gotowe do zawodów motocykle, odpowiedni strój (sam kevlar to ok. 6 tys. zł). W garażu ma zazwyczaj kilka albo nawet kilkanaście silników. To nie wszystko. Żuźlowiec to mini przedsiębiorca. Za zarobione pieniądze utrzymuje zespół mechaników, czasem prowadzony jest kurs staż z pomocy fizjoterapeutów, a nawet psychologów. Na parkingu stoi furgonetka oklejona reklamowymi napisami.

W sezonie, który jest krótki i tylko podczas niego się zarabia, zawodnicy potrafią dokonywać prawdziwych cudów, aby przetrwać się z zawodów na zawody. Przykładowo: jednego dnia startują w polskiej Ekstralidze, a następnego dnia w Grand

Prix Chorwacji w Goričan. Podróżują nocą. Zawodnik ma w furgonetce legowisko i stara się choć trochę przespać, a w tym czasie mechanicy pracują nad jego sprzętem.

Sprzęt jest bardzo drogi. Komplet opon wystarczy na góra dwa starty. Jeden z zawodników wyliczył, że dobry trening to wydatek ok. 10 tys. zł. Trzeba kupić po nim nie tylko nowe opony, ale także tarcze sprężgła i inne zużyte akcesoria.

Ile zarabiają zawodnicy – pozostaje tajemnicą ich i ich księgowych. Najlepsi zarabiają bardzo dobrze, podobnie jak we wszystkich dyscyplinach sportu. Zasadą jest, że klub wypłaca im przed sezonem określoną sumę, a później otrzymują ustaloną wcześniej zapłatę za każdy punkt zdobyty podczas zawodów.

Kluby i organizatorzy turniejów to nie jedyni płatnicy. Każdy zawodnik ma swoich sponsorów. Podczas transmisji telewizyjnych stara się pokazać do kamery ich nazwy. Im więcej sponsorów i im bardziej są zadowoleni, tym hojniejsze przelew na konto.

Najlepsi rajderzy występują w sezonie w kilku ligach. Najwyżej cenią sobie polską Ekstraligę, bo tu pieniądze są największe, a rywale najsilniejsi.

Bartosz Zmarzlik nie tylko broni barw drużyny Motoru Lublin, występuje także w lidze szwedzkiej. Swego czasu Brytyjczyk Daniel Bewley bił rekordy, przenosił się z ligi do ligi, teraz nieco się uspokoił występuje we Wrocławiu, w Wielkiej Brytanii i w Szwecji. Były mistrz świata Artiom Łaguta, który po agresji Rosji na Ukrainę nie może walczyć w turniejach Grand Prix, w tym sezonie jeszcze bardziej się ograniczył. Zrezygnował z jazdy w Wielkiej Brytanii, pozostał we Wrocławiu i czeka na ewentualną propozycję ze Szwecji.

Z innej gliny

Już zacząłem pisać o żuźłowcach. Wiadomo, że oni są najważniejsi. Motocykle same nie pojadą, nawet najlepiej przygotowane przez mechaników. Żuźlowcy to jednak nie temat na krótki samouczek. Należałoby poświęcić im grubą książkę. Ci faceci są jakby ulepieni z innej gliny niż zwykli śmiertelnicy. Wiele z nich ma kości poskręcane na śruby, ale wsiada na motor jak gdyby nigdy nic.

W ostatnich latach sporo zrobiono dla bezpieczeństwa zawodników, ale wciąż utrata zdrowia jest realna. Uderzenie w bandę, nawet pneumatyczną, albo w twardy tor z prędkością przekraczającą 100 km/h w najlepszym przypadku bardzo boli.

Każdy zawodnik to osobna historia i każdy jest godny szacunku. Na potrzeby krótkiego samouczka zatrzymajmy się przy jednym. Dobrze nam to pomoże zrozumieć jego „czarny charakter”.

W ubiegłym sezonie Duńczyk Patrick Hansen uległ ciężkiemu wypadkowi. Zachodziła nawet obawa, że będzie miał sparaliżowane nogi i dołączy do wcale licznej grona byłych żuźłowców poruszających się na wózkach inwalidzkim. Skomplikowana operacja kręgosłupa się powiodła i już wsiada na motocykl, choć do startów jeszcze mu daleko. To jednak gość, który nie potrafi siedzieć bezczynnie.

Podczas pandemii nauczył się języka polskiego na tyle dobrze, że komentuje żuźlowe transmisje w Canal+. Co ciekawe, z racji mieszkania w Rybniku podobno lepiej posługuje się śląską godką niż literackim polskim. Na tym nie koniec. Ukończył kurs instruktorski i może prowadzić zajęcia z adeptami czarnego sportu. Papiery ma, ale także wątpliwości, czy zdecyduje się na podjęcie tej pracy. Wiele mu się nie podoba. „Za moich czasów” – mówi 25-latek – „do wszystkiego trzeba było dochodzić samemu, od zera. Teraz młodzi są rozpieszczani przez rodziców i kluby”.

Może Hansen sam napisze już nie krótki samouczek dla kibiców, ale normalny podręcznik żuźlowy? A może przetłumaczy go na śląską godkę?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 15.05.2024 r.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA chyba znowu nie pójdzie głosować. **JOANNĘ SENYSZYN** oburza jej nieobywatelska postawa.

– Bo inaczej będzie fakap. Wracając do wyborów – acz nie odchodząc od fakapów – co mnie obchodzi, kto będzie zarabiał kilkadziesiąt tysięcy i latał biznesem? Gdybyś to miała być ty, to oczywiście bym pobiegła z błyskiem



Ilustr. KRZYSZTOF OLFIŃIK

– Jak to nie zażądał? A jedynka w Katowicach?

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA_{ODC. 298}



RYS. RYSZARD DARBOWSKI